

# KAMENA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN

31.XII 1964

Nr 24 (310)

ROK XXXI

CENA 2 ZŁ

LUBLIN - BIAŁYSTOK - KIELCE - RZESZÓW

## QUO VADIS UNIVERSITAS?

EMANUEL ISERZON

W ARTYKULE „Koncepcja uniwersytetu” („Kamena” nr 22 br.) wspomniałem o referacie prof. Włodzimierza Hubickiego, który porównawszy zaplanowany temat — model uniwersytetu, mówił o hazardzie i libacjach w życiu akademickim, nastroju nudy, bezideowości i bierności studentów, marnotrawstwie czasu studentów, nieracjonalności nauczania i programów. Nazwałem te sprawy „na pewno najpilniejszymi na dzień dzisiejszy”, a tocząca się dyskusja modelowa — „muzyką przyszłości”. Postawiono pod moim adresem pytanie: czy dyskusja modelowa jest zbędna. Spieszę odpowiedzieć, że zostałem opacznie zrozumiany. Dyskusja zasługuje na to, żeby skupić najpilniejszą uwagę. Odbywa się w tej chwili praca nad reformą programową i organizacją studium uniwersyteckiego. Nie można przecież prowadzić tego rodzaju pracy nad instytucją rozwojową, jakim jest — i zawsze w ciągu swego wielowiekowego istnienia był — uniwersytet, nie mając pod powieką jego przyszłego kształtu. Ale praca nad reformą uniwersytetu nie może być oderwana od toczącej się równoległe krytyki rzeczywistości uniwersyteckiej, w tym — codzienności środowiska studenckiego.

Dyskusja zapoczątkowana przez redakcję „Nowych Dróg” w październikowym numerze tego czasopisma i przez Uniwersytet MCS w Lublinie z okazji uroczystości XX-lecia i zakończona wypowiedziami przedstawicieli różnych uniwersytetów w grudniowym numerze „Nowych Dróg” — nie może być uważana za zamkniętą. Wymaga ona kontynuacji i potraktowania jej jako kluczowej w „kraju uczących się”. Udział w niej powinni wziąć nie tylko przedstawiciele „ciała nauczającego”, ale również szersze koła — przede wszystkim studenci i absolwenci. Również redakcja „Nowych Dróg” „kończąc” dyskusję w grudniowym numerze wyraża pogląd, że „przedstawienie pełnego... obrazu funkcjonowania uniwersytetów oraz ich perspektyw rozwojowych wymagałoby dotarcia z dyskusją również do środowisk pozauniwersyteckich. Należałoby zwłaszcza uwzględnić opinie, jakie... ukształtowały się w innych środowiskach uczelnianych, a także w ośrodkach i instytucjach, które z racji zatrudnienia wychowanków uniwersyteckich bądź czerpania z dorobku naukowego tych uczelni są szczególnie zainteresowane sprawami ich rozwoju”.

Uniwersytet jest instytucją prastarą i szacowną. „Macierz nauk” (*parens scientiarum*), siedzisko jednej z trzech władz (*studium*) rządzących światem, obok władzy duchownej i świeckiej (*sacerdotium et regnum*) — cieszył się

(Dokończenie na str. 17)



Szczęśliwego Nowego Roku  
życzy Wam, Drodzy Czytelnicy,

„Kamena”

## AMATORZY WSPÓŁCZESNOŚCI

BOLESŁAW BARTOSZEWICZ

COKOLWIEK byśmy powiedzieli o różnych znakomitych przysmakach, zgodzimy się wszyscy bez trudu, że w naszym klimacie i w naszych warunkach najważniejszy jest przecież chleb. Walka o lepszy poziom życia to walka o chleb. Zarabiać na życie to — jak się w Polsce mówi — zarabiać na chleb. Cokolwiek byśmy powiedzieli o barwności i różnorodności amatorskiego ruchu artystycznego, zgodzimy się chyba wszyscy, że najważniejszym jego członkiem jest teatr. Dzieje się tak niezmiennie od lat i żaden zespół taneczny czy śpiewaczy, żaden dziecięcy czy młodzieżowy balet, przygotowany przez cierpliwą i pracowitą miejscową panią nauczycielkę — chwala Jej zresztą za to — nie potrafią zastąpić amatorskiego teatru.

Teatr potrafi dać ludziom, którzy są z nim związani, prawdziwą satysfakcję intelektualną i artystyczną. Amatorzy, a więc ludzie, którzy są napędzani pasją artystycznego wyżycia się, znajdują w ruchu teatralnym autentyczne ujęcie swoich ambicji i potrzeb. Praca w amatorskim kółku teatralnym przypomina w pewnym sensie pracę w kółku samokształceniowym. Przecież przygotowując się do określonej roli artysta-amator studiuje motywy postępowania danej postaci scenicznej, uczy się odpowiedniego tekstu, czyta całą sztukę, przysłuchuje się wypowiedzianemu tekstowi przez innych amatorów, zastanawia się nad sensem, nad myślą przewodnią utworu, wreszcie poznaje inne dzieła autora danej sztuki, epokę, w której żył i tworzył.

Chyba dość. Świadczy to aż nadto na korzyść amatorskiego teatru. Świadczy o tym, że cokolwiek byśmy powiedzieli o pięknym tańcu i uroczym śpiewie na świetlicowej scenie, o rozkwicie innych form artystycznej działalności amatorskiej, teatr dzięki wszystkim swoim możliwościom estetycznym - wychowawczym - społecznym pozostaje niezmiennie w awangardzie.

I wszystko byłoby w jak najlepszym porządku, gdyby nie dość poważne nieporozumienia, które się gromadzą wokół amatorskiego ruchu artystycznego w ogóle, amatorskiego teatru zaś w szczególności. Chodzi głównie o rolę i miejsce amatorskiego teatru w naszym życiu kulturalno-społecznym. Powiedzmy sobie od razu: wysokie wartości estetyczne - wychowawczo-społeczne amatorskiego teatru mają znaczenie przede wszystkim dla samych artystów-amatorów, nie zaś dla tzw. widzów. A w każdym bądź razie dopiero potem dla tzw. widzów. Warto zwrócić uwagę na ten fakt, bo zdarza się tak, jak się zdarzyło mnie podczas rozmowy z przedstawicielami znanego nauczycielskiego — ambitnego zresztą — zespołu „Graliśmy już tę sztukę piętnaście razy — mówili

(Dokończenie na str. 10)

RANO 21 lipca 1944 r. czolgi Armii Radzieckiej przepędziły okupanta z terenów zawierzańskich, uwalniając z okrajenia walczące od kilku dni pod dowództwem Grzegorza Korczyńskiego oddziały partyzanckie Armii Ludowej i oddziały ugrupowań radzieckich pod dowództwem płk. Czornego i Baranowskiego.

Tego dnia zdjąłem okulary, które przez 5 lat przysilały mi twarz, od października 1939 roku, tj. od dnia, w którym gestapowcy po raz pierwszy przyjechali mnie aresztować. Jako działacz KZMP i więzień sanacji zostałem zadencjonowany przez miejscowych donosicieli. Tylko dzięki szczęśliwemu przypadkowi gestapowcy nie zastali mnie w domu, i to mnie uratowało od niechybnej śmierci.

21 lipca mogłem już ogolić włosy, ale nie było na to czasu.

Zgodnie z poleceniem tow. „Szymona” (Wacława Boneta) i kpt. „Niwy” (Zygmunta Goławskiego) w dniach około 13 lipca znajdowałem się w Lublinie. Prośba moja o pozostanie w oddziałach i tym razem nie była przyjęta. Przekonano mnie. Wiecej mogłem działać w Lublinie. Jednak już około południa 21 lipca znalazłem się we wsi Eójki. Doszły pożary podpalonych przez Niemców chłopskich zagrod. W ocalonych domach, na podwórkach spotykam partyzantów z naszego oddziału. Ryszard Postowicz ps. „Murzyn” czyści automat i surzy buty, inni czynią to samo. Zalatwia się wiele spraw związanych z wymarszem oddziałów do Lubartowa. Taki był rozkaz d-cy II Obwodu Armii Ludowej G. Korczyńskiego. Por. „Kółka”, Mikołaj Meloch, jeździ na motorze i przekazuje partyzantom wydane rozkazy. Rozmawiam z Ryśkiem. Pytam o „Szymona”, o „Niwe”, o Władka Kuszyka i jego żonę Dorotę. Otrzymuje przytyra odpowiedź: „Niwa, jego żona, Szymon i Dorota polegli przed kilkunastu godzinami w walce. Trudno w to uwierzyć! Siadam na rower i jadę do Ostrowa. W stodole

# Dwadzieścia lat temu...

EDWARD NADULSKI

na klepsku przykrytym prześcierałami poznaje „Szymona”, „Niwe” i jego żonę Halinę. Za serce mi ścisła. Żegnają po raz ostatni bliskich mi ludzi, oddanych Polsce, z którymi wiele razy spotykałem się, omawiając programy walki i perspektywy naszej przyszłości.

W oswobodzonym Lubartowie rozpoczęła legalną pracę Powiatowa Rada Narodowa. Przewodniczącym rady został Wacław Niećko, ps. „Karol”, a starostą Stanisław Gdula. Obaj przewodniczący działacze KZMP, więźniowie sanacji i jedni z pierwszych partyzantów Lubelszczyzny.

Spotykam Władka Kuszyka, Grzegorza Korczyńskiego, mjr. „Barykę” Edwarda Jędrzejewskiego, por. „Miroslawa” Jerzego Kilanowicza, kpt. Michała Michalskiego i wielu innych partyzantów. Sprzed gmachu szkoły powszechnej w Lubartowie wyjeżdżamy do Lublina. Szarym osobowym samochodem jedzie G. Korczyński i Władysław Kuszyk. Reszta naszego oddziału w zdobytych od Niemców samochodzie ciężarowym. Serca biją nam z radości. Przed Lublinem spotykamy powracające do miasta rodziny. Jedźmy ul. Lubartowską do Eramy Krakowskiej, ul. Królewską i Zamojską do dworca kolejowego. Ulice zaślane są rozbitym sprzętem wojsk niemieckich. Leżą nieruchome już czołgi, samochody, pozabijane konie i miejscami ludzkie trupy. Wiele domów rozbitych i spalonych, pełno szkła i ram okiennych na chodnikach.

Przed dworcem kolejowy, stojąc na masce samochodu, przemawiają do zgromadzonej ludności towarzysze G.

Korczyński i Wł. Kuszyk. Po dalszym objeździe ulicami miasta wjeżdżamy na Krakowskie Przedmieście. Tu szukamy noclegu. Zatrzymujemy się w gmachu b. „Arbeitsamtu” pod nr 62. Z pomieszczeń biurowych wyrzucamy kilka trupów niemieckich. Część oddziału lokuje się w dużym pokoju na pierwszym piętrze. Kilku partyzantów uzyskało zwolnienie i rozbiegło się do miasta szukać znajomych i swych rodzin. Tow. Korczyński zarządza kolację. Kpt. Troki wyciąga wino, konserwy, chleb. Nie wiem, skąd się to bierze, że wszystkiego jest dosyć i każdemu smakuje. Po kolacji i krótkiej rozmowie kładziemy się na podłodze i drzemimy. Tow. Korczyński śpi w fotelu. Po krótkiej drzemce poderwała wszystkich na nogi ostra strzelanina. To artyleria przeciwlotnicza odpędza niemieckie samoloty. Rano przystępujemy do pracy. Po rozmowie z Władkiem Kusziem przystąpiłem do pisania szyldu władzy ludowej. Ale jak to zrobić? Szukam materiału. Po chwili znajduję wszystko: dyktę, farbę i drut. W krótkim czasie na gmachu, na wysokości pierwszego piętra duży napis oznajmia wszystkim: Wojewódzka Rada Narodowa w Lublinie. Po chwili przywożę dużych rozmiarów sztandar biało-czerwony, jeszcze z okresu przedwojennego, od Piotra Łukaszczyka, który ukrywał go przez całą okupację. Zawisł na gmachu, nad szyldem WRN. Zgłaszają się do nas pierwsi interesanci. Zalatwiamy wszystkie sprawy: cywilne i wojskowe, żywnościowe, mieszkaniowe, porządku i bezpieczeństwa, cenzurę i redakcję pierwszych odezwe. Nie pamiętam dokładnie, ale już drugiego dnia ukazała się pierwsza odezwa do ludności Lubelszczyzny

obwieszająca działanie władzy ludowej. Podpisał ją d-ca II Obwodu AL i pierwszy komendant Obwodowej Milicji Obywatelskiej tow. G. Korczyński i Wł. Kuszyk w zastępstwie przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej.

Przyprowadzają nam złapanych Niemców, wylapujemy konfidentów, zabezpieczamy mienie społeczne i zakłady pracy. Na polecenie tow. Korczyńskiego organizujemy biura pierwszej Woj. Komendy Milicji Obywatelskiej. Sprządzamy maszyny do pisania z biur polnieckich. Rekwirujemy w sklepach kontyngentowych materiały białe i czerwone na flagi państwowe i opaski dla milicji obywatelskiej. Nie pamiętam nazwiska rodziny z ul. Zielonej, która bezinteresownie w czasie jednego dnia uszyła 300 opasek biało-czerwonych dla pierwszego oddziału milicji. Byli partyzanci szybko rozpoczęli służbę porządkową. Na ramionach ich mundurów cywilnych i wojskowych widniały opaski z nadrukiem MO.

W parę dni przybyły pierwsze oddziały Wojska Polskiego. Przybyli również towarzysze z innych oddziałów: tow. Paweł Dąbek, Marian Czerwiński, Stanisław Szczepański i inni. Powstają nowe organa władzy. Rozpoczyna się praca przy ul. Spokojnej 4 Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego.

Zgodnie z decyzją PKWN i WRN zostałem oddelegowany do pracy cywilnej. Z udzielonym mi pełnomocnictwem WRN z dnia 28 lipca organizuję w dniu 2 sierpnia zebranie pracowników monopolu tytoniowego. Otwieram pierwsze zebranie załogi, około 600 osób. Przemawiają do zebranych przybyli tow. Ignacy Łoga-Sowiński, Wł. Kuszyk, Marian Czerwiński. Przemawiają także robotnicy. Nastroj radości i wielkiego podniecenia. Na zakończenie zebrania został wybrany jako jeden z pierwszych komitet fabryczny, w skład którego weszli jako przewodniczący Edward Nadulski, z-cy inż. Stanisław Klerner i inż. Ignacy Dobrzyński, oraz członkowie: Jerzy Obarski i Henryk Jabłoński.

Zakład „wyszabrowany” ze wszystkiego, poza śmieciem nie ma nic. Po naradzie z personelem technicznym rozpoczęliśmy pracę. Odezwą z dnia 10 sierpnia wezwaliśmy rolników-plantatorów tytoniu do dostawy surowca do punktów skupu. Robotnicy własnymi narzędziami pod kierunkiem majstra Kubicza remontują fermentownię i inne urządzenia zakładu. Pod koniec sierpnia ruszyły punkty skupu tytoniu. Lubelska Fabryka Wąg pomogła nam w tym dając na kredyt 30 wag. Wojska radzieckie oprócz realizacji swych zadań frontowych użyczają nam taboru i ludzi do przywożenia tytoniu do fermentowni ze stacji wykupowych. Węgiel otrzymujemy z „Donbasu”. Za dostarczenie tytoniu placimy rolnikom naftą, solą i innymi artykułami. Robimy wiele prób, by uruchomić produkcję tytoniu krajowego. I robię przerobienia sieczkarni w fabryce narzędzi rolniczych nie powiodły się. Dopiero w listopadzie za zgodą i przy pomocy dowództwa II Białoruskiego Frontu udeło się nam spraw dziełwie odremontowane krajarki ze spalanej wytwórni papierosów w Białymstoku. Ruszyła krajalnica i pakownia. Za kilka dni ukazał się w sprzedaży pierwszy tyton w paczkach po 25 g i 50 g z napisem „Sredni Lubelski”. Pozwoliło to nie tylko zaspokoić pierwsze potrzeby wojska i ludności, ale zlikwidować zobowiązanie wobec załogi, która przez kilkanaście tygodni pracowała bez zapłaty otrzymując jedynie skromną zapłatę raz dziennie w zakładzie.

Wojsko właśnie przygotowywało się do ofensywy styczniowej. U nas w zakładzie kończyła się kampaia fermentacyjna. Ofiarna kadra pracowników zakładu uczestniczyła w wielu innych zadaniach państwowych i społecznych: w reformie rolnej, nacjonalizacji przemysłu, grupach operacyjnych, pracy związkowej. Dużą rolę odegrała tu komórka PPR, powstała w czasie okupacji, oraz wysiłek wielu towarzyszy: Popławskiego, Maruszaka, Czubańskiego, Perkowskiego i innych.

Ofiarność ludzi lubelskiego zakładu tytoniowego jest jednym z przykładów twórczej pracy nowej rzeczywistości. Porwana do czynu załoga przebrnęła przez wszystkie piętrzące się trudności i w krótkim czasie, kiedy jeszcze grzniała nad Wisłą działą, postawiła swój zakład na mocnych podstawach organizacyjnych. Lubelski zakład tytoniowy stał się mocnym początkiem do zorganizowania przemysłu tytoniowego w całym kraju.

Nie sposób w krótkiej relacji odtworzyć tamtych dni, dni wielkiego wysiłku i poświęcenia ludzi, których praca, a niezdolność życia złożyła się na uroczyste XX-lecie PRL i jej dziesięć rzeczywistość.

## W OŚRODKACH WIEDZY OBYWATELSKIEJ LESZEK KOZUSZKO

JEDNI powiadają, że „chwyciło” przede wszystkim samo brzmienie nazwy tej rodzącej się nowej fali społecznego ruchu oświatowego. Jest w tym powiedzeniu sporo racji. Nazwa rzeczywiście ujmująca: Ośrodek Wiedzy Obywatelskiej. Tworzy się je, organizuje do piero, zanim więc podzielić się refleksjami, uwagami na temat jakże istotny u progu przyszłego XX-lecia — słów kilka podstawowych informacji: ośrodki wiedzy obywatelskiej organizowane są w całym kraju z inicjatywą Frontu Jedności Narodu. W białostockim województwie ilość ich zbliża się gdzieś do setki (dane z pierwszej połowy listopada), zakładane są zaś w zasadzie we wsiach, o których dawniej powiadało się, iż są „deskami od świata zabite” — dzisiaj określa się je często jako „białe plamy”. Do wsi, gdzie nie działa dotychczas podstawowa organizacja partyjna, ani koło ZSL, czy koło ZMW, do takiej wsi, gdzie często nie ma jeszcze kółka rolniczego, kółka gospodyń wiejskich, czy nawet tradycyjnej ochotniczej straży pożarnej — przybywa nauczyciel, agronom, wiejski lekarz, lub inny aktywista Frontu Jedności Narodu. Złasza się do soltysa, wyszukuje radnego lub rolnika, znanego we wsi z węższej wiedzy, odczytania i wspólnie oświadczają, że powstał tam Ośrodek Wiedzy Obywatelskiej. Opracowują przedtem program, z którego, ogólnie rzecz biorąc, wynika, że przez całą zimę do późnej wiosny we wsi tej organizowane będą odczyty, spotkania, dyskusje, zgodnie z myślą zawartą w zdaniu: „co każdy obywatel wiedzieć powinien”.

A każdy obywatel, mieszkaniec wsi, aby nadążyć z duchem czasu, wiedzieć powinien wiele i to z przeróżnych dziedzin. Stąd też w programach ośrodków wiedzy obywatelskiej znajdujemy najróżnorodniejsze tematy. Pogadanki o kodzie drogowym i prawie wodnym PRL. Spotkania z członkami egzekutyw komitetów powiatowych partii i aktywistami ZSL. Pogadanki o Milenium przygotowywane przez nauczycieli sąsiedniej lub miejscowej szkoły i spotkania z przedstawicielami Komendy Powiatowej Milicji Obywatelskiej. W programach ośrodków wiedzy obywatelskiej spotykamy również sprawozdania przewodniczących przedwiośniowych rad narodowych z niektórych dziedzin gospodarki gromadry oraz pogadanki radnych powiatowych i Wo-

jewódzkiej Rady Narodowej. Tego rodzaju tematów spotyka się jednak niewiele. Oto więc i pierwsza uwaga. Upraszczać nieco pojęcie wiedzy obywatelskiej, można by je określić jako wtajemniczenie obywatela we wszystkie poczynania różnych instancji wybranej przez niego władzy oraz wysłuchanie zdania obywatela, wysłuchania tego, co on sądzi, myśli o tych poczynaniach. Dlatego też wykładowcami w ośrodkach wiedzy obywatelskiej powinni być w dużej mierze radni wszystkich szczebli rad narodowych oraz przedstawiciele wszystkich organów władzy. Za słuszną jest tego twierdzenia przemawia fakt, że właśnie Front Jedności Narodu jest organizatorem ośrodków wiedzy obywatelskiej. Praktycznie zaś szerszy udział w poczynaniach ośrodków ze strony radnych i przedstawicieli organów władzy odczuć przedziałonych tego rodzaju pracą wiejskich nauczycieli, agronomów, lekarzy.

Piękna, godna wielkiego uznania jest myśl organizowania ośrodków wiedzy obywatelskiej w „białych plamach”. Lecz można by gorąco polemizować, czy organizować je wyłącznie tam, gdzie nie działa POP, koło ZSL, koło ZMW. Gdzie zazwyczaj nie ma ani świetlicy, ani klubo-kawiarni, czy też klubu książki i prasy. Idea ośrodków wiedzy obywatelskiej wydaje się szersza, niż dotychczas wyłączenie do wsi „deskami od świata zabitych”. Potrzeba ich działania również. Czy tam, gdzie podstawowe organizacje partyjne i koła ZSL organizują otwarte i wspólne zebrania, gdzie oświatową działalność prowadzą koła ZMW, wiejskie kluby, świetlice — nie ma potrzeby wyjaśniania różnorodnych odcieni problemu: „władza a obywatel”? Sadzę, że jest tu potrzeba. Tak zresztą uważają również działacze FJN w województwie białostockim. Skupienie wysiłków na „białych plamach” wynikało z oszczędności, z obawy, czy wystarczy sił społecznych na organizatorskie ujęcie oraz utrzymanie tego ruchu. I ta obawa, przekożniw w pewnym sensie uzasadniona, nie wydaje się całkowicie słuszną. Oto z praktycznych obserwacji wiadomo, że we wsi, osadzie, małym, rolniczym miasteczku, gdzie prowadzi działalność POP, i ZSL, i ZMW klubo-kawiarnia, bądź też wiejski klub książki i prasy, czy świetlica, nie ma zorganizowanej działalności oświatowej typu wiedzy oby-

watelskiej. Czy nie warto więc, aby w Wojewódzkim Komitecie Frontu Jedności Narodu spotkali się organizatorzy wiejskich klubów prasy i książki, klubo-kawiarni, świetlic gromadzkich, strażackich, młodzieżowych i przedyskutowali zorganizowanie ośrodków wiedzy obywatelskiej we wszystkich tego typu wiejskich placówkach. Traktując te ośrodki wiedzy obywatelskiej jako własne (to w praktyce jest bardzo ważne!) przedsięwzięcia (przepraszam za to nadużyte sformułowanie) w ramach Frontu Jedności Narodu.

Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Białymstoku podjęło ostatecznie uchwałę o ujednoliceniu, a przede wszystkim o umasowieniu systemu szerzenia wiedzy rolniczej. Zdecydowana większość wsi Białostoczczyzny, obok szkół przysposobienia rolniczego i zespołów PR, obejmowana jest trzyletnim programem zawodowego szkolenia rolniczego. Prawie w każdej wsi (lub w grupie kilku wsi), najczęściej w szkole, czasami w świetlicy, klubie prasy i książki klubo-kawiarni lub w większej chacie, przez trzy lata, ściślej trzy zimy, przerabiany będzie program zawodowego szkolenia rolniczego. Aż się prosi, aby obok każdego takiego kursu, jako drugi, uzupełniający program obliczony na tych samych słuchaczy, działał Ośrodek Wiedzy Obywatelskiej. W całokształcie można by to porównać do programu technikum, gdzie obok przedmiotów zawodowych (3-letni kurs rolniczy) byłby przedmiotem ogólnokształcące i polityczne (ośrodek wiedzy obywatelskiej) obliczone oczywiście, na bezpośrednie potrzeby słuchaczy.

Uwag, refleksji, problemów wiążących się z powstaniem pierwszych ośrodków wiedzy obywatelskiej nawiązuje się coraz więcej. Trudno się temu dziwić. Szerzenie wiedzy we wsiach i osadach rolniczych Białostoczczyzny z tysiącami powodów jest, jak się to mówi, palącą potrzebą chwili. Nowoczesność wdziera się tam burzliwie, zaś hamulec nadążania za jej wymaganiami jest ciągle jeszcze ów brak wiedzy. Dotychczasowa „partyzancka” wielu instytucji i organizacji społecznych szerzących wiedzę we wsiach Białostoczczyzny przekształca się w regularny system szerzenia masowej wiedzy we wsiach i osadach rolniczych. Ośrodkom wiedzy obywatelskiej należy dać miejsce w systemie powszechnej oświaty.



**N**ALEŻE do pokolenia, które młodości było zafascynowane Żeromskim. I nie tylko stroną ideową jego twórczości, również artystyczną. To, co dziś razi niektórych czytelników i odstręcza od jego książek — rozlewna liryczność języka, swoista kompozycja dzieł — nas nie zrażała, a raczej odwrotnie — zachycało niepodzielnie. Styl i język Żeromskiego uważaliśmy za doskonały instrument dla oddania najsubtelniejszych uczuć. Był nam szczególnie bliski. Książki jego pochłaniałyśmy z wplekami na twarzy, a niektóre zwroty i zdania powtarzałyśmy wielokrotnie. Szczególnym zachwytem obdarzałyśmy, że tak dzisiaj lekceważone opisy otaczającego nas świata, no i miłości.

Znałem już jako kilkunastoletni chłopak niektóre książki Żeromskiego, ale dopiero prawdziwym wprowadzeniem w jego świat i całkowitym oczarowaniem była lektura „Popiołów”. Znajomość moja z Olbromskim i Cedrą zawarta została w niecodziennych okolicznościach, gdy losy świata ważyły się podobnie jak w epoce napoleońskiej. Było to w latach 1918—19 w Zytomierzu, w latach wojny i rewolucji oraz wielkiego zamieszania w tamtych stronach, jak i zresztą na całym świecie.

Zostałem wtedy obdarzony szczególnym zaufaniem, powierzono mi opiekę nad biblioteką organizacji uczniowskiej. Poważny to był księgozbiór co do ilości i jakości, kształtowany przez szereg lat przez wielu ludzi. W tamtych latach zagłady i niepokoju troską ówczesnej kolonii polskiej było przechować ten skarb i uchronić go od zniszczenia. Książki znajdowały się w obszernym i bezpiecznym pomieszczeniu. Trzeba było co pewien czas tam przyjść, okurzyć, obejrzeć i sprawdzić, czy jest dostatecznie sucho i czy drzemający tomom nic nie zagraża. Takie były moje obowiązki — niezbyt absorbujące.

Zawsze jednak ilekroć tam przyszedłem i znalazłem się w obliczu tysięcy tomów w absolutnej ciszy i spokoju — pozostawałem godzinami. Nic mię nie mogło wtedy oderwać od rozlicznych ksiąg, woluminów i roczników przeróżnych czasopism od najstarszych do współczesnych.

Powierzony mojej opiece księgozbiór posiadał najwidoczniej jakieś własności narkotyczne, gdyż mimo młodych lat i jakżeś bujnego podowczas nurtu życia, w obliczu tych książek zapomniałem się całkowicie. Nie istniały dla mnie sprawy bieżące, koledzy, koleżanki, miłosne perypetie, a nawet własne wiersze, bo już wtedy zacząłem pisać. Pochłaniałem lapczywie stronice za stronkami. Niezadko ciemności nocy dopiero przerywały mi czytanie, bo z oświeceniem wtedy było rozmaicie, przeważnie nie dzia-

łało. Ileż ja tam polknąłem przerożnych tomów. Wtedy zapoznałem się z Nietzschem, pod którego silnym wpływem znajdowałem się przez długi czas, i wtedy właśnie po raz pierwszy przeczytałem „Popioły”.

W bibliotece znajdował się komplet oprawnych roczników „Tygodnika Ilustrowanego”. Wpadły mi w ręce lata 1902—1903. Właśnie wtedy „Tygodnik” drukował jednocześnie trzy powieści: „Popioły” — Żeromskiego, „Chłopów” — Reymonta i Tetmajera „Na skalnym Podhalu”. Urodzajno to były lata dla naszej literatury. Rzadko które czasopismo na świecie mogło się pochylać takim wyborem znakomych twórców.

## WRACAJĄC DO ŻEROMSKIEGO...

KONRAD BIELSKI

Dla mnie jednak wszystkich przesłonił Żeromski. W „Popiołach” znalazłem to, czego szukała wtedy moja niespokojna i niecierpliwa młodość. Było to jakby ucieśnienie wielu niespełnionych marzeń. Razem z Rafałem, bo on jednak był mi bliższy niż Cedro, przeżywałem w wyobraźni fascynującą przygodę w służbie Marsa, no i Erosa. Jakżeż mdła teraz wydawała mi się Hania Sienkiewiczowska, mój dotychczasowy ideał erotyczny, wobec Heleny i księżniczki Elżbiety. Myślałem przemierzając wszystkie drogi moich bohaterów.

I wtedy właśnie zrodził się pomysł odbicia czegoś w rodzaju pielgrzymki — wycieczki szlakiem Rafała. Na razie na podstawie scenariusza z pierwszego tomu „Popiołów”. Choć nie miałem jeszcze wtedy żadnych danych, to jednak intuicyjnie wyczuwałem, że te wszystkie miejscowości muszą mieć odpowiednik w rzeczywistym krajobrazie. Trzeba tylko je zidentyfikować, a potem znaleźć na mapie i w terenie. Tym bardziej, że autor ułatwił zadanie, czyniąc miejscem akcji pewne autentyczne miasta, wsie i osady.

Wyobrażałem sobie tę podróż w następującej kolejności. Najpierw Wyrwy wujaszka Nardzewskiego i Puszcza Jodłowa. O, tam trzeba by się zatrzymać nieco dłużej. Wyjść na szczyt Łysicy. Pokręcić się pośród wiekowych jodeł. Zabłądzić, zgubić ścieżkę. Poszukać tego starego buku, pod którym Rafał czatował na koziołka.

A następnie Tarniny. Wtedy nie wiedziałem, że właściwym ich odpowiednikiem jest realnie istniejąca

wieś Chorzany. A potem, potem to już drogą, którą jechał wypędzony z domu do brata Piotra do Wygnanki; i koniecznie wiosną — w pierwszych połowie maja.

A więc Dersławice. Odnaleźć to miejsce i zidentyfikować. Przecież musi być kuznia i obszerny dwór, utopiony w gęstwie starodrzewia i kwitnących sadów. Może go rozpoznamy po oknach otwartych, kołysanych równomiernie łagodnym podmuchem wieczornego wietrzyka. Dalsza droga powiedzie przez Staszów i gdzieś tam wśród legów i lasów poszukać trzeba tego miejsca, gdzie nocą w gęstych kępach olszyn śpiewały Rafałowi setki słowików. Przy sprzyjających okolicz-

nościach może się uda wysłuchać podobnego koncertu.

Ominiemy Chęciny, ale dostatecznie blisko, by napatrzeć się na ruiny Zamku i będziemy się kierować na Włoszczowę, bo w tamtych stronach przecież umieścił Żeromski „Wygnankę” no i „Grudno”. Na zakończenie spacer tą słynną aleją, gdzie tak przejmująco szumiały drzewa w czasie pogrzebu „dobrego brata Piotra” i gdzie zakochany obłędnie Rafał wieczorami śledził i wypatrywał przejeżdżającą konno księżniczkę Elżbietę.

Nigdy już jednak potem nie przybliżyłem się do realizacji tych zamierzeń. Burza dziejowa rozszalała na dobre, a los nie szczędził mi rozlicznych przygód i niespodzianek. Gdy po skończonej wojnie wyładowałem w Lublinie, zafascynowany bieżącymi sprawami, zafascynowany nowymi prądami w poezji i sztuce, daleko odszedłem od Żeromskiego i „Popiołów”. Nawet takie wydarzenia, jak ukazanie się „Przedwieśnia”, a później śmierci Żeromskiego, nie na długo oderwały mnie od młodzieńczych upodobań i pasji. Do „Popiołów” zaglądałem jednak od czasu do czasu, ale rzadko. Więcej dla higieny psychicznej, niż z potrzeby. A już na zawsze poniechałem zamiaru odbicia tej wymarzonej niegdysiejszej podróży. Nawet w tych latach zdarzało mi się nieraz znaleźć w pobliżu miejscowości leżących w „Kregu Rafałowym” — ale do bliższych kontaktów i odświeżania dawnych wspomnień nie doszło.

W czasie okupacji czytaliśmy namiętnie „Wojnę i Pokój” — Tolstoja. W „Popiołach” zbyt wiele było pesy-

mizmu i nastrojów nam wtedy nie odpowiadających. Natomiast po skończonej wojnie, gdy podjąłem trud skompletowania na nowo zniszczonej całkowicie biblioteki, zwróciłem się przede wszystkim w stronę klasyków. Na „Popioły” czekałem długo. Głazje kupna dawnych wydań nie trafiały się. Trzeba było być cierpliwym. Dopiero na wiosnę roku 1951 ukazały się nakładem „Czytelnika” z postawami Kazimierza Wyki i ilustracjami Unilowskiego. Na bardzo lichym papierze, brzydką czcionką, w nieładnej okładce. Kupiłem niezwłocznie i zaraz rozpocząłem czytanie. Chciałem się znów pogrzeżyć w dawnych wspomnieniach, odszukać znajomy ton, przeżyć co już przeżyłem, po raz drugi.

Niestety. Tym razem proza Żeromskiego nie miała już dla mnie tego uroku, nie urzekła tak jak kiedyś, nie zniewała aktualnego czytelnika. To zjawisko gniewało mnie i niepokoiło. Nie zmienił się przecież uwielbiany niegdysiejszy pisarz. Zmieniłem się najwidoczniej ja sam. Wojnę uważałem za przyczynę tych zmian. Stąd wywoziłem moją ośchłość, zblazowanie i niemożność odnowienia zerwanych kontaktów i dawnych wzruszeń. „Popioły” odłożyłem na półki biblioteczne, umieściłem je na honorowym miejscu między Sienkiewiczem i Prusem i przez dłuższy czas nie zaglądałem do nich wcale. I znów przeszło szereg lat.

Aż razu pewnego odwiedziłem mego przyjaciela Franciszka Osiaka, właściciela uroczej księgarni — antykwariatu, na jednej z bocznych ulic Lublina. I tam właśnie znalazłem i niezwłocznie nabyłem pierwsze wydanie „Popiołów” Żeromskiego. Trzy tomy, małego formatu oprawne w płótno angielskie granatowego koloru. Papier i czcionka „Tygodnika Ilustrowanego” — oczywiście Gebethner i Wolff.

I rzecz nie do wiary! Lektura tych tomików zaabsorbowała mnie tak bardzo, że poczułem się nagle jak za dawnych, dawnych lat. Znajomy papier i druk okazały się znakomitym katalizatorem i odczynnikami przywracającym dawno nieodczuwane wzruszenie. Najwidoczniej odmiłniały moje oczy i serce.

Jest rzeczą powszechnie znaną, co potwierdzić jeszcze mogą wytrawni koneserzy, że szlachetne wino najlepiej smakuje podane w odpowiednim naczyniu. Wina reńskie i mozelskie pije się w kolorowym szkle, węgierskie w tak zwanych pospolicie „lampkach” i ciężkich pucharach, szampa w wysmukłych, kryształowych kielichach itd.

Treść i nastrój dobrej książki wiąże się nierozłącznie z jej szatą zewnętrzzną. Jeśli chcecie cofnąć się do

(Dokończenie na str. 7)

### Listy o poezji

## Jeszcze o przekładach poetyckich

ANNA KAMIEŃSKA

**P**OPRZEDNI mój list o przekładach poetyckim nie pozostał bez echa. Mamy obecnie, jak sądzę — okres rozkwitu tego gatunku twórczości. Dlatego istnieje też potrzeba mówienia o sprawach, które krytycy przeważnie pomijają lub kwitują jednym epitetem oceniającym. Krytyka nie ma narzędzi analizy i oceny przekładu poetyckiego. Niechże będzie to nadal domena wypowiedzi poetyckich, tyleż impresyjnych i subiektywnych, co sprawdzonych własnym doświadczeniem i trudem poetów.

Oczywiście ani w jednym felietonie, ani w dwóch — sprawy tej nie wyczerpie. Zaledwie dotykam problemu — zaznaczam punkty, nakładam myślowe dla szerszych rozważań, szerszych, a przede wszystkim szerzej udokumentowanych.

Pomyślmy więc jeszcze na ten temat, sprwadamy na rodzimą glebę ogólne rozważania o przekładzie poetyckim nazwanym przez mnie poprzednio grzechem, ale grzechem pięknym.

Bo przecież każda kultura, każda literatura ma własne tradycje przekładu — własne w tym względzie upodobania i przyzwyczajenia. Francuzi, jak wiadomo, upodobali sobie przekład poezji prozą, co jest z pewnością uczci-

we i rzetelne, jako rozsądna rezygnacja z tego, co oddać w drugim języku z całą dokładnością jest niepodobniństwem. Rezygnują z kształtu poetyckiego — zachowując jedynie rzekomy sens poematu. Ale czy sens poetycki da się oddzielić i wyabstrahować od kształtu wiersza, od ułożonej przez poetę pracy w języku?

Z pewnością — nie. Z pewnością rezygnacja posuwa się tu zbyt daleko, zbyt łatwo tłumacz zrzeka się tego, co najważniejsze, a co, mimo niemożliwości pełnego osiągnięcia, jest pełne innych kuszących obietnic poetyckich.

U nas, w Polsce sztuka przekładu wyrosła równoległe z oryginalną sztuką słowa. Spliczone były u narodzin naszej poezji jak dwie bliźniacze siostry. Wytarczy przypomnieć przekłady Ezopa dokonane przez Biernata z Lublina, poetyckie przekłady Mikolaja Reja z czeskiego, który był dla ówczesnej Polski tym, czym późniejszy język francuski, a wreszcie przekłady poetyckie Jena z Czernolasu.

Patron całej poezji polskiej jest także wielkim patronem poetyckiego przekładu. Jest dla poetów trudniących się rzemiosłem przekładowym — podnożącym zawsze na duchu wzorem poety i zarazem poety-tłumacza.

Przed wszystkim Horacy. Pieśń XXIV Kochanowskiego jest nieprześcignionym przekładem ody Horacego: Niezwykłym i nie lada piórem

[opatrzone —

Poleć precz poeta... Nie mamy po dziś dzień równie świetnych, a zwłaszcza równie świetnych i nowoczesnych przekładów Horacego. Nie zaćmiły ich próby Mickiewicza.

A potem — Psalterz Dawidów, ogromna praca przekładowa z języka starożytnego, z kultury jakże odległej i odmiennej. Wielki powieściotwórca — awangardowy poemat cykliczny o

losie człowieka pod niebem — stał się utworem polskiej literatury.

Jaka była metoda przekładowa Kochanowskiego, jakie tradycje wyznacza polskiej sztuce przekładu?

Metodą tą była ścisła w rozumieniu i współ-odczuwaniu, współ-czuciu poetyckim — parafraza.

Więc nie dosłowność, nie wierność kopisty, ale większa, szersza wierność, wierność duchowi poetyckiemu. Poeta-tłumacz umyślał się tak głęboko w tekst poetycki, że odrzucając go następnie, pisze jakby wiersz własny, pisze tak, jakby napisał starożytny poeta, gdyby narzędziem jego był język polski, inne, swoiste ukształtowanie językowej mentalności.

Dlatego właśnie przekłady Kochanowskiego mają tę siłę i świeżość, jaką zachowały do dziś. W tym procesie poetyckiej wędrówki dusz, od poety łacińskiego do poety polskiego renesansu — zapewne ubyło — i przekształciło się niejedno. Kształt języka, kształt słowa, rym, kolor wiersza, niepowtarzalny i jedyny układ słowny został zniszczony i rozbity. Powstało co innego. Inny układ, dalekie echo podobieństwa. Ale nie znaczący to, że układ zubożony. Coś ubyło, ale też coś niezwykle ważnego doszło wypełniając przestrzeń między oryginałem a przekładowym odzworowaniem. Tym czymś, tą rekompensatą poetycką — jest siła osobowości Kochanowskiego. Jego poetycka indywidualność on sam. Ten nowy układ słów, jakim jest przekład poetycki, został uwierzytelniony osobowością, indywidualnością poety-tłumacza. Jego znak odróżniał się w kształcie nowego utworu, który zdobył dzięki temu obywatelstwo trwania w polskiej literaturze. Bo przekłady, podobnie jak i wiersze oryginalne, pozostają w języku i w literaturze, albo też gina. A o ich żywocie, o jego trwałości decyduje nawet nie zawsze

wierność oryginałowi, ani nawet doskonałość oddania wszystkich odcieni znaczeń, ale właśnie to piętno indywidualne odcisnięte na przekładzie, na nowym wierszu polskim. Każdy tłumacz, chce czy nie chce, pozostawia to piętno własne, osobiste, ma sobie tylko właściwe spadki zdań, rym i energię mowy, zasób słownictwa.

Ten typ przekładu — parafrazy ukazany nam przez największego poety polskiego, jako prototyp polskiego przekładu poetyckiego — był uprawiany włościwie przez cały ciąg rozwoju literatury polskiej. Towarzyszył poezji baroku, oświecenia i romantyzmu. Dopiero nasz wiek XX zapoczątkował inny kierunek przekładu poetyckiego stawiącej na pierwszym miejscu czolobitną wierność wobec oryginału. Poeta-tłumacz ukrył się za rzekomą wiernością przekładu, starał się zatrzeć ślady własnej osobowości, starał się być jak najbardziej nijaki, aby tym wyrazista była osobowość autora. Zaplanowała w przekładzie era nie poetów, lecz redaktorów. Oczywiście przewzięczała tę tendencję zawsze silna osobowość poety. Przykładem mogą być tłumaczenia Juliana Tuwima, z których najsłabsze trwania w języku dzieła energii jego własnego wiersza, jego osobistej siły poetyckiej. Poeci o mniejszej indywidualności w koronym ukrywaniu się poza tekstem — plodzą przekłady nijakie, blade, wiersze martwe przed urodzeniem, niby-wiersze nie mające możliwości trwania ani uzbogacania poezji polskiej.

Tłumaczenie poezji wyłącznie uprzejmościowe, grzecznościowe wobec obcych literatur — nie miałyby przecież głębszego sensu i znaczenia.

W rachunku ogólnym chodzi przecież o naszą poezję, o uzbogacenie jej, poprzez świeże inspiracje, ukazanie nowych możliwości sensu i języka poetyckiego.

# NAJLEPSZY ŚWIADEK

STANISŁAWA GOGOŁOWSKA

SZARY, ponury poranek. Z mgły wylaniają się trzy rzędy drutów kolczastych. Nad bramą, przez którą przechodzę, tak dobrze znany mi napis: „Arbeit mach frei”.

Brnę w grząskiej mazi. Błoto, wilgoć i przejmujące zimno — jak zawsze tu w Oświęcimiu i w Brzezinkach. Jak w setki takich samych ponurych i mglistych poranków, które tu przeżyłam. Przeżyłam... Szczelnie otulam się futrem... zimno.

Wtedy też było mi zimno, dotkliwie zimno aż do bólu. Jeszcze zanim zaczęła świtać, ustawiano nas w długie, równiutkie rzędy i kazano całymi godzinami pozostawać w bezruchu w ciętutkich, wiatrem podsztych pasiakach i w dziurawych drewniakach na nogach.

Obok mnie stała zawsze Wika Chociejowa. Nie wytrzymała tych niekończących się apelei. Widzę, jak po jej młodej, ślicznej twarzy spływają łzy, których nawet nie próbuje ukryć... Nie, nie ma już Wiki, nie ma Marysi Wasilewskiej, Janki Kalfas, Wandy Brogowskiej, ani pani Czaplickiej, nie ma... Z trzystu pięćdziesięciu ośmiu kobiet z mojego transportu nawet osiem nie wyszło z KL Auschwitz. Do trzystu pięćdziesięciu kilku kartotek wpisano — zmarła, i zawiadomiono rodziny, że stało się to tego i tego dnia wskutek...zapalenia płuc... czy innej choroby. Nie mogli przecież zapisać, że zmarły właśnie na... KL Auschwitz.

Teraz zamiast Wikipi obok mnie stoi dziennikarz zachodniemiecki, z jednego z największych piśm w NRF, o prawie półmilionowym nakładzie dziennym. Przyjechał do Oświęcimia wraz z ekipą prawników delegowaną przez Trybunał we Frankfurcie nad Menem, gdzie toczy się proces przeciwko 22 spośród kilku tysięcy zbrodniarzy oświęcimskich, których dziełem było właśnie to, że Wika Chociejowa, Marysia Wasilewska, Janka Kalfas i setki tysięcy — miliony zdrowych i jak one młodych kobiet nigdy już nie powróciły do swoich bliskich.

Przyjechali — sędzia, prokuratorzy, oskarżyciele prywatni i obrońcy... a wraz z nimi ponad setka dziennikarzy i fotoreporterów z całego świata, w poszukiwaniu obiektywnej prawdy, potwierdzenia winy czy może „niewinności” morderców tysięcy ludzi. Przyjechał też jeden z oskarżonych odpowiadający z wolnej stopy (sad wobec „znikomych” zarzutów nie widział powodu zastosowania przeciwko niemu presytu), były lekarz SS — kierownik rewiru (szpitala obozowego) dr Franz Bernhard Lucas.

Nie ma tu teraz obok mnie ani Wikipi, ani żadnej z dawnych towarzyszek niedoli. Stoję z NRF-owskim dziennikarzem w obozie, gdzie zaraz na wstępie frankfurcka ekipa przeżywa wielki szok. „Czarna ściana” — ściana śmierci i czerwony pasek zabarwiony krwią tysięcy pomordowanych tu ludzi.

Nisko chylą się obnażone spontanicznie głowy zachodniemieckiego sędziego, prokuratorów, adwokatów... Nie pada ani jedno słowo — w milczeniu składają hołd tym, którzy stracili tu życie.

Jakim obramem czyni to wraz z nimi Lucas? Czym kieruje się ten SS-owski lekarz — cynizmem, perfidią czy pewnością siebie? A może ten fest w stroju ofiar takich jak on SS-owców miał zademonstrować jego „niewinność”?

Jak szczer przemycić się przez cały czas oględzin sądowych przez obóz. Bacznie śledzi każdy krok ekipy i rusza natychmiast wszędzie jej śladem. Jak ogień unika dziennikarzy. Pragnie pozostać w cieniu, jak tam na sali sądowej we Frankfurcie nad Menem. Tam jednak tło stanowili SS-owcy, na pozór bardziej od niego obciążeni. Tu w oświęcimskim kombinacie śmierci tłem dla niego jest „rampa w Brzezinkach, na którą kierowno transportu przyjeżdżające z całej Europy i gdzie odbywały się selekcje. Na tej rampie obok Lucas pełnił jedną ze swoich obozowych funkcji — „lekarzkie dyżury”. To akurat w czasie krótkiej jego służby oświęcimskiej — Lucas stał podkrośla, że był w Oświęcimiu „zaledwie” od grudnia 1943 roku do maja czy czerwca 1944, właśnie na rampie, gdzie „dyżurował”, przychodziły najwięk-

sze w oświęcimskiej historii transporty Żydów, Żydów węgierskich, których większość została wyselekcjonowana do gazu. A przecież od lekarza na rampie przede wszystkim zależało, czy ktoś otrzymywał od razu wyrok śmierci, czy też został skierowany do obozu.

Rozmawiałam z Lucasem. Były lekarz SS nie miał oczywiście pojęcia, że jestem dziennikarką i do tego była więźniarką Oświęcimia. Spytałam go, jak się to stało, że on jeden spośród oskarżonych zdecydował się uczestniczyć w oględzinach sądowych i przyjechał do Polski.

Odpowiedział: „Nie mam nic do ukrywania. Nie mam sobie nic do zarzucenia, niczego się nie obawiam i dlatego mogłem przyjechać”.

Tupet czy naiwność? Czyżby rzeczywiście nie zdawał sobie sprawy z tego, w jakim świetle stawia go konfrontacja z prawdą na rampie w Brzezinkach? Lucas jest — jak mnie zapewniał — dobrej myśli, liczy na wyrok „uniewinniający”.

Daleko mniej optymistycznie nastroił Oświęcim obrońców oskarżonych. Młody naukowiec z Bonn, dr Harald Kirchner, który z wielką pasją i oddaniem od dłuższego już czasu zajmuje się ujawnianiem zbrodni hitlerowskich, wcale nie jest tym zaskoczony, zapewnia mnie, że obrońcy oskarżonych dobrze wiedzieli, o co walczy przeciwstawiając się wizji lokalnej w Oświęcimiu.

— Tu przemawiają realia — stwierdza — to nie jest to, co najlepiej nawet wykonane plany i rysunki sytuacyjne, którymi posługiwał się sąd. Tu przemawiają nie tylko mury i ruiny. Tu oskarża każdy kamień, każdy przedmiot. Tu staje się twarzą w twarz z najpotworniejszą, do głębi wstrząsająca rzeczywistością.

Tak. Oświęcim, który, jak to nazwał jeden z krakowskich dziennikarzy, stał się koronnym świadkiem we frankfurckim procesie, uczynił wstrzą-

sające wrażenie nie tylko na młodym naukowcu.

Sędzia Walter Hotz, któremu Trybunał we Frankfurcie powierzył kierownictwo oględzin sądowych w Oświęcimiu, stojąc w Brzezinkach nad stawem, do którego wrzucano popioły i niedopalone kości pomordowanych, nie potrafił powstrzymać okrzyku: „To jest straszne”.

Prokurator Grossman, gdy już — po skończonej wizji — „prywatnie” zwiedził Muzeum Oświęcimskie, na długo zadumał się przed ogromną gablotą z miami, dziecięcymi buciżkami. Jeden z najbardziej gorliwych obrońców po obejrzeniu Oświęcimia, zwierzył mi się, że musi przyjechać do Oświęcimia ze swoją 14-letnią córką, by zrozumiła co oznaczają słowa: „hitlerowski obóz koncentracyjny”.

W ostatnim dniu wizji w Oświęcimiu świeciło słońce. Było ciepło jak na wiosnę. W budynku, gdzie kiedyś mieściła się komendantura obozu, stukwały maszyny do pisania i dalekopisy, dzwoniły telefony. Dziennikarze różnych narodowości, różnych przekonań nadawali wiadomości z Oświęcimia, przypominali prawdę o największym tym cmentarzysku świata, przeznaczonym dla całych narodów.

Przemierzając po raz ostatni ulicę obozową w towarzystwie dziennikarza z NRF. Przed chwilą oglądał film dokumentalny o Oświęcimiu, wykonany przez czołową wojsk radzieckich natchmiaszt po wyzwoleniu obozu. Jest wstrząsający filmem i tym wszystkim, co tu widział — prawdą o Oświęcimiu. Mówił, że żadna kara choćby najwyższa, nie może być zadośćuczynieniem, nie będzie współmierna do zbrodni.

Zegnając się z nim myślę, że skoro takie zapamiętania głosi człowiek z przeciwnego obozu, o zgoła odmiennych od naszych poglądach i zapewni mnie, że w NRF coraz więcej ludzi, a szczególnie młodych tak właśnie ocenia te sprawy, hasło: „nigdy więcej Oświęcimia” staje się coraz bardziej realne.

## WYMOWNE PROTESTY

BOŻENA KOWALOWA

Problematyka pierwszych obozów koncentracyjnych u postępowych powieściopisarzy niemieckich przed wybuchem II wojny światowej

FAKT objęcia władzy przez Adolfa Hitlera w styczniu 1933 r. ostatecznie uniemożliwił postępowym pisarzom niemieckim dalszą egzystencję w kraju i zmusił ich do wyemigrowania poza granice Niemiec i szukania schronienia na całej prawie kuli ziemskiej. Rozbrojeni, często cierpiący dotkliwy niebostatek, nekani biurokratycznymi wymogami urzędników państw, które dali im przytułek (np. Francja) nieudolni byli duchowego nawet poparcia ze strony rodaków, których przeważająca liczba poszła na lep faszystowskiej propagandy czy też ugięła się pod hitlerowską przemocą. Wśród niemieckich pisarzy emigracyjnych obok dojrzałych komunistów, jak Willi Bredel i Anna Seghers, nie zabrakło również przedstawicieli postępowej burżuazji, którzy teraz naozajnie przekorali się o całkowitym fiasku mieszczkańskiej ideologii, niezdecydowanej przeciwstawiać się zagarnięciu władzy przez hitleryzm.

Przed nimi wszystkimi stanęło teraz trudne i szczytne zadanie — kontynuacja postępowych tradycji literatury niemieckiej w nowych, zdecydowanie niesprzyjających warunkach na obczyźnie, i niedopuszczenie do całkowitego zaprzeczenia wielowiekowego dorobku kultury narodowej, dekantego i palonego na stosach przez żołdaków III Rzeszy.

Emigracyjni pisarze niemieccy w olbrzymiej większości dali w swych utworach pierwszeństwo tematyce współczesnej a jeżeli nawet stworzyli dzieła, których akcja toczy się w odległej przeszłości historycznej, wyrażają w nich akcenty protestu przeciwko przemocy i bezprawiu, oraz akcenty dochwały idealów humanizmu i postępu (L. Feuchtwanger „Samozwzniech Nerona”, „Wojna żydowska”, Tomasz Mann „Lotta w Weimarze”, Bruno Frank „Cervantes” i in.).

Z całokształtu postępowej twórczości niemieckiej na emigracji pragnęmy tu wyodrębnić osobną grupę te-

matyczną, a mianowicie utwory o dominującej problematyce aktualno-politycznej których autorzy postawili sobie za cel zdemaskowanie zbrodniczych metod, jakimi posługiwał się faszyzm w III Rzeszy. Najlepiej o intencjach owych walczących piórem przeciwników hitleryzmu świadczy wypowiedź L. Feuchtwangera, tłumacza pośpiech, z jakim już w 1933 r. ukończył swą powieść „Rodzeństwo Oppermann”: „Zależało mi na tym, aby uświadomić czytelnikom całego świata możliwie szybko, jak wygląda prawdziwe oblicze hitlerowców i jakie niebezpieczeństwo pociąga za sobą ich panowanie”.)

Nie sposób na tym miejscu pokusić się chociażby o pobieżne scharakteryzowanie owego nader ciekawego zjawiska, jakim jest niemiecka literatura polityczna na emigracji po 1933 r., zagadnienie to zbyt obszerne. Z konieczności ograniczymy się do najbardziej chyba znanych polskiemu czytelnikowi powieści z okresu przed wybuchem II wojny światowej ażeby na ich przykładzie ukazać, jak ich twórcy ustosunkowali się do faktu powstania i rozwoju najhaniebniejszego „wynalazku” III Rzeszy — obozów koncentracyjnych.

Jak wiadomo, oblicze tych obozów w pierwszej fazie ich istnienia (od 1933 r. do wybuchu II wojny światowej) różniło się znacznie od straszliwego obrazu, który sam dźwięk tego słowa wywołuje u obywateli narodów okupowanych przez hitlerowskie Niemcy. Nie były to jeszcze miejsca masowego wyniszczenia, a raczej odosobnienia, w których przy pomocy zmuszenia do pracy ponad siły, złego odżywiania i zadawania dotkliwych cierpień fizycznych i moralnych usiłowano łamać opór przeciwników politycznych i wycofywać elementy „podejrzane”. Pomimo wszakże zasadniczej różnicy pomiędzy obu typami obozów, nieludzki reżim panujący również i w obozach w pierwszych etapach ich rozwoju przyczynił się do zniszczenia wielu istnień ludzkich i stanowił poważny czynnik zastraszenia narodu niemieckiego, skrzętnie jednakże ukrywany przed zagranicą.

Lion Feuchtwanger i Willi Bredel jako jedni z pierwszych wśród pisarzy emigracyjnych postanowili przerwać kordon tajemnicy otaczający zbrodnicze poczynania władcy III Rzeszy. Obok prózy dokumentalnej w rodzaju Gerharda Segera „Oranienburg” (Praga 1934), Waltera Hornunga „Fachau” (Zürich 1935) i in., powieść Feuchtwangera „Rodzeństwo Oppermann” (1933) i Bredla „Egzamin” (1933) waleśnie przyczyniły się do zarnajawienia wolnego świata ze stosunkami panującymi w obozach koncentracyjnych.

STANISŁAW JERZY LEC

## Poema małego wnuka

Mały wnuk  
bolesnych antenatów  
co krzyż dźwigił  
nie chcąc wien wierzyć  
z oczu nie mogąc  
wytrzeć zdumienia  
między ciszą a ciszą  
moje zwischenruffy;  
architekci  
budują  
Mur Obojętności  
coraz nowe na nim  
afisze  
napisy kredą  
budulec  
z baszty Babel  
każda cegła  
mleży w innym języku  
z pustych otworów ikon  
wylała  
jak u fotografów jarmarcznych  
nie kongruentne facjaty,  
Statystyka  
stworzycielko świata  
pani życia i śmierci  
krwawią przecięcia przeciętności!  
Ślepi o kolorach  
głusi kamerton podają  
ci co błoto żarł  
od smaku spece  
pletwęrecy  
o dotyku  
wiecznie zakatarzeni  
nawet o woni jutrenki.  
Może tędy jedynie  
wyjście za opłotki widnokręgów?  
Brośmy nieba naszych zachwytyłów  
za mało zaporowych balonów  
naszych baniek mydlanych  
odbijających swą wewnętrzną tęczę.

Mały wnuk  
bolesnych antenatów  
niedokrwisty ilu  
pogromami  
krew z ilu chrztów  
rozwodniona!

Nocą rzezą zegary  
z zamkniętymi oczami  
czas idzie  
z zaciśniętą płęcl  
uciekają  
między palcami  
gwiazdy.

Z tomu „Poema, gotowe do skoku”,  
który ukazuje się nakładem Państw. Inst.  
Wydawn.

STANISŁAW  
PAGACZEWSKI

## pójść w las

znów idę  
na południe  
futro lasów pogładził dłońią  
kark Turbacz poklepać kudłaty  
ej ty powiedzcie mu szorstko  
by nie wyczuł czulości w głosie

parują spocone folusze  
miedzią Cygan zabrząknie i prosi  
grosika panie grosika  
Cyganowi czarnemu jak szalas  
a otworzy ci archeologię lasu  
i jak karty wyłoży dzieje  
uwędzonych w dymie ilimierzy  
szczęśla za grosik temu kto  
Cyganowi smolnemu zawierzy

stołca mosiężna patelnia  
nad Lubaniem wniebowstępuje  
pajęczyn drżąca kruchość  
płące moje kroki  
jałowce — mnichy w kapturach  
tyraliera zdobywają góry

splunąć w garść  
kij ująć mocno jak siekierę  
pójść w las

Feuchtwanger ukazuje w swej powieści losy mieszczkańskiej rodziny żydowskiej po 1933 r. Wszyscy jej członkowie szukają schronienia za granicą, jednakże dr Gustaw Oppermann powraca nielegalnie do Niemiec, aby zbierać na własną rękę dane o zbrodniach hitlerowskich i przekazywać je dalej. Nie umie jednakże nawiązać kontaktu z działającymi w podziemiu niemieckimi komunistami i jako jednostka walcząca z reżimem w sposób beznadziejny, bo odosobniony i niezorganizowany, dostaje się do obozu koncentracyjnego, w którym pobyt łamie ostatecznie jego siły i zdrowie i staje się przyczyną śmierci.

(Dokończenie na str. 6)



Józef Abramowicz — Autoportret

### Sylwetki artystów

# PRZY SZTALUGACH I W SIODLE

BOHDAN KRÓLIKOWSKI

W ŻYCIU plastycznym Lublina w minionym dwudziestolecu działalność Józefa Abramowicza znacząca się wielorako: Od 1947 r., prawie bez przerw, członek zarządu lubelskiego okręgu ZPAP. W latach 1948—50 prezes okręgu. Następnie (1950—52) organizator i prezes spółdzielni artystów pn. „Forma”. Potem dyrektor Pracowni Sztuk Plastycznych (od lat jedenastu) i dyrektor CBWA (5 lat). Organizator i komisarz wielu wystaw. Stały członek jury przed każdorazową wystawą lubelskiego okręgu. No i wreszcie (last but... first) artysta-malarz, rysownik i grafik. Świetny animalista (konie, konie i jeszcze raz konie); ceniony batalista i pejzażysta.

Sylweta starszego pana w ciemnym eleganckim garniturze, białej koszuli i spokojnej barwie krawacie od wielu lat spotykana na ulicach Lublina zrosła się z miastem (zaryzujemy malarskie porównanie; stała się elementem jego pejzażu). Trudno sobie już dziś wyobrazić, a jednak to prawda — lublinianinem jest on dopiero (ktoś młody by powiedział „już”) od roku 1947.

Artysta urodził się i wychował w Kijowszczyźnie. W Żytomierzu ukończył gimnazjum, tam też w latach 1914—15 uczył się rysunku i malarstwa w szkole prof. Kazanowskiego — uważany był za najzdolniejszego ucznia.

W latach dwudziestych Julian Falat poznawszy się na talencie młodego malarza gorąco go namawiał do ukończenia akademii sztuk pięknych — niestety służba wojskowa uniemożliwiła mu studia.

Służbę w kawalerii — skąd wyniósł miłość i znawstwo konia — wykorzystał Józef Abramowicz do licznych studiów i szkiców z natury, rozwinął w sobie cechujący go do dziś rozmach i pewność rysunku konia w ruchu. W roku 1939 Abramowicz wziął (more antiquo z szabłą i w siodle) udział w kampanii wrześniowej, w czasie której (pod Krasnobrodem) dostał się do niewoli.

Lata pobytu w oflagu, które dla wielu ludzi były okresem nudy i bezплоdnych dysput, wykorzystał na gruntowne studia malarskie pod kierunkiem profesora Mariana Szyszko-Bohusza i Zygmunta Karolaka. Brał udział w obozowych wystawach, uzyskał i miejsce w konkursie na witraż do kaplicy obozowej, a ponadto wykonywał portrety i plakaty.

W obozie należał do związku artystów i do związku literatów, gdzie stykał się z Leonem Kruczkowskim. Ponadto kolegami J. Abramowicza w oflagu byli m. in. obecny minister A. Rapacki i J. Słowacki.

Po wyzwoleniu obozu Józef Abramowicz, w latach 1945—46, brał czynny udział w życiu plastycznym Polaków w angielskiej strefie okupacyjnej. Polskie stowarzyszenie artystyczne „Poka” zorganizowało mu wystawę indywidualną w Lubece (1946), brał również udział w wystawach sztuki polskiej na obczyźnie: w Brunświku, Hannoverze i Meppen oraz w wystawie zorganizowanej przez Bund Bildender Künstler für Nordwestdeutschland.

Organizował też polskie wystawy objazdowe. Opinie ówczesnej polskiej prasy w Niemczech, pras angielskiej, a nawet niemieckiej, były bardzo przychylnie dla twórczości artysty — recenzenci zgodnie rodkiemli jego znawstwo konia, pewność rysunku i dojrzałość artystyczną.

W roku 1947 Józef Abramowicz wrócił do kraju. Nie znalazł tu już co prawda ułanów, ale za to zdobył szerokie możliwości pracy organizacyjnej, no i warunki do umiłowanej twórczości.

Od roku 1947 bierze udział we wszystkich wystawach okręgowych w Lublinie, a ponadto w Łodzi, Olsztynie, Sopocie, w ogólnopolskich w Radomiu, w ogólnopolskiej wystawie pod nazwą „Martyrologia i walka narodu polskiego” zorganizowanej w Lubli-

nie w r. 1962 (tu m. in. wystawa świetlna prac: „Zwiad konny”) i w innych. Wystawy indywidualne twórczości Józefa Abramowicza odbyły się w Lublinie jak dotąd trzykrotnie: w r. 1958, 1960/61 i 1963. Z okazji tych wystaw wiele pisano w prasie lubelskiej (przykładowo nazwiska krytyków: U. Czartoryska, H. Michalczykowska, J. Stasiakówna, J. Ludwiński). Stwierdzano m. in., że twórczość J. Abramowicza stanowi jakby kontynuację tradycji polskiego koloryzmu, którego źródła szukać należy w impresjonizmie. Widziano w pracach Artysty: „zacięcie realistyczne, rozmach i swobodę...” — zwłaszcza w akwarelach, o rysunkach pisanym, że: „pełne są dynamiki i lekkości, a kreska bogato zróżnicowana i urozmaicona”. Przyznawano mu własne oryginalne spojrzenie na sztukę, doszukiwano się jednak pewnych powiązań ze sztuką jego ulubionych mistrzów: Michałowskiego, Stanisławskiego i Maślowskiego.

Zapytany o swoje poglądy na sztukę p. Abramowicz mówi, że dobre malarstwo jest zawsze dobre — niezależnie od kierunku reprezentowanego przez twórcę. Jednak malarstwo powinno wyrażać jakąś treść, bez niej bowiem sztuka jest niezrozumiała i chyba nieprzydatna. Dlatego też Abramowicz nie „czuje” abstrakcji, choć docenia jej rolę w malarstwie dekoracyjnym, ściennym.

Zle jest — jak twierdzi — kiedy artysta uprawia tylko sztukę abstrakcyjną. Najpierw trzeba bowiem opanować rysunek i kolor (casus Picasso). Dopiero mając podstawy można eksperymentować.

Największe uznanie ma dla realizmu, który zresztą (w pewnym sensie) uprawia, a także dla postimpresjonizmu, ciekawego zwłaszcza w zestawieniach kolorystycznych.

Osobiście pragnąłbym pogłębić swój „warsztat”, stosować śmielsze kolory i w ogóle więcej koloru w obrazach — mówi Józef Abramowicz.

Niestety dorobek Józefa Abramowicza nie jest w całości do dyspozycji twórcy i odbiorców. Znaczna część jego prac przedwojennych, zwłaszcza rysunki i szkice z czasów służby wojskowej, spłonęły w czasie Powstania Warszawskiego. Zaginęły również prace z oflagu.

Mimo tych strat, artysta nastawiony jest optymistycznie, pragnie wiele malować i wiele rysować, czego z całego serca życzą mu wielbiciele jego twórczości.



Józef Abramowicz — Patrol (tusz i akwarela)

(Dokończenie ze str. 5)  
Założeniem Feuchtwangera było ukazanie tragicznego w swej bezradności losu inteligencji burżuazyjnej, dlatego też wśród więźniów obozu koncentracyjnego w powieści widzimy przede wszystkim przedstawicieli tej właśnie warstwy. Ogromna jest ich bezradność wobec nieszczęścia, które stało się ich udziałem. Przy pisaniu swego utworu opierał się Feuchtwanger w przeważającej mierze na opowiadaniach naocznych świadków, powieść „Egzamin” Bredla, jak mówi sam autor „była zrodzona i napisana w myśli podczas tygodni i miesięcy zamknięcia w separacie w obozie koncentracyjnym”. 2) Na przykładzie obozu koncentracyjnego w Fühlshüttel, Bredel chce ukazać zorganizowaną akcję tępienia ludzi, zgodnie z prawdą bez przemilczenia i upiększenia. Sam sposób ujęcia tematu różni się tu jednak zasadniczo od feuchtwangerowskiego. Tam SS-mani byli „beziemną grupą”, a cały nacisk autor położył raczej na oddanie wewnętrznych stanów więźniów, aniżeli na organizację życia w obozie. U Bredla natomiast autentyczne są zarówno nazwiska strażników, jak i sturmführera i komendanta obozu. Powieściopisarz odsłania oprócz zwierzęcego często okrucieństwa dozorców wobec więźniów, również i wewnętrzne intrygi w administracyjnym aparacie więziennym. Najważniejsza wszakże dla autora jest postawa uwie-

# WYMOWNE PROTESTY

złonych działaczy ruchu oporu, którzy usiłują nie poddawać się swemu losowi. W niezłomnym i nieustraszonej komuniście Heinrichu Torstenie ukazuje Bredel bohaterstwo posła do Reichstagu Mathiasa Thesena, który cały okres dyktatury hitlerowskiej spędził w obozie koncentracyjnym bez wyroku i procesu. Scena, w której Torsten nawiązuje kontakt ze współwięźniem z sąsiedniej celi przy pomocy umownego alfabetu staje się symbolem więzi istniejącej i w obozie pomiędzy komunistycznymi bojownikami o wolność. Torsten planuje radością, że „zwyrodniała została samotność i przytłaczający mrok, radością, że padło pierwsze słowo człowieka do człowieka, towarzysza do towarzysza”. 3)

W r. 1936 ukazała się na emigracji powieść syna Tomasza Manna, Klaus, pt.: „Mefisto”. W utworze tym, obrazującym stosunki w artystycznych kołach III Rzeszy, nie brak również wzmianek o obozach koncentracyjnych, jako o środku zastraszenia opinii publicznej. Jeden z dobrze przez Führera widzianych aktorów powoduje uwięzienie niewygodnych sobie plotkarzy. Fakt istnienia obozów koncentracyjnych przyczynił się do powstania poważnych wątpliwości w umyśle gorliwego dotąd zwolennika

NDSAP, młodego reżysera filmowego. Na przepojonych goryczą i rozpaczą ostatnich stronach powieści, którymi autor pragnie wstrząsnąć obojętnym światem, nie zabraknie słów o obozach koncentracyjnych: „Mesjasz (mowa o Hitlerze) twierdził, że kocha pokój, a kazał pacyfistom torturować w obozach koncentracyjnych. Zabijano ich, rodzinom wysyłano popioły w zapieczętowanych urnach z wiadomością, że ta pacyfistyczna świnią powiesiła się albo została zabita podczas ucieczki”. 4)

Znakomita powieść Anny Seghers „Siódmy krzyż”, ukończona w 1939 r. (wyd. 1942), należy jeszcze organicznie do owego I okresu emigracyjnej literatury. Wbrew częstym twierdzeniom nie jest to powieść ściśle obozowa, bo — chociaż osnuta jest wokół tematu ucieczki siedmiu więźniów z obozu koncentracyjnego, — autorce chodziło tu przede wszystkim o ukazanie, z pozycji ideowych rewolucyjnego ruchu robotniczego, — przekroju społeczeństwa niemieckiego w dobie panowania hitlerizmu. Należy tu zwrócić uwagę na niezwykle znaczący fragment powieści — historię powstania obozu koncentracyjnego w Westhofen (nazwa obozu oczywiście zmyślona), pierwszych reakcji okolicznych

mieszkańców na odgłosy strzałów krzyki dochodzące spoza drutów, i represji wobec sarkających na okrucieństwa. Z ironią i smutkiem mówi dalej autorka o powolnym przywykaniu mieszkających w pobliżu chłopów i ich dzieci do przykrego, ale nieuniknionego ich zdaniem sąsiedztwa, z którego z biegiem czasu nauczyli się nawet czerpać korzyści, dostarczając władzom obozowym jarzyny i owoców. Dopiero fakt ucieczki siedmiu więźniów poruszył opinię publiczną, uczynił aktualnym pogrzebany dawno problem istnienia obozu, postawił na nowo dręczące pytanie — dlaczego?

Zarówno jednak Anna Seghers, jak i inni postępowi pisarze niemieccy na emigracji, potrafili wyjść poza bezradnie rozpamiętywanie swego nieszczęścia. Ukazując w swych utworach tragedię narodu, który nie chciał i nie umiał przeciwstawić się zgrubnej ideologii hitlerizmu, wyzwalali również członków tego narodu jak i cały świat do walki z panowaniem przemocy i kłamstwa, które bezkarnie panowały się w Niemczech ogarniętych „brutalnym szaleństwem”.

Bożena Kowalowa

1) Lion Feuchtwanger, „Rodzeństwo Oppermann” (tłum. M. Wisłowska), wyd. Czytelnik, Warszawa 1957, postawie autora.  
2) Willi Bredel, „Egzamin”, (tłum. A. Linke) PIW, Warszawa 1954 str. 5.  
3) Bredel, op. cit., s. 106.  
4) Klaus Mann, „Mefisto”, (tłum. J. Dmochowska, PIW 1957, str. 206.

PRZEKLADY  
JERZEGO PLEŚNIAROWICZA

BOHDAN IHOR  
ANTONYCZ

**Nuta weselna**

Słuchaj: weselny bęben gra nam,  
klony jak pawie klony głowy.  
We włosy twoje, ukochana,  
wplół się kędziorem księżyc płowcy.

Czemu przygasły skrzypiec tony,  
czemu drży twoja dłoń w mej dłoni?  
Jak mchem — noc blaskiem  
rozszerebrzonym  
omotuje podkowy koniom.

**Wieś**

Tu krowy modlą się do słońca,  
co płomienistym wschodzi makiem.  
Topola wzrosła smuklejąca  
jak gdyby zostać miała ptakiem.

Od wozu księżyc wyprzegają.  
Szeroka zgrzebna płachta nieba.  
Dal rozpostarta na rozstajach  
I w siwym dymie lasu grzebień.

Z gór jaworowe liście płyną.  
Kądział i kogut i kołyska  
Dzień się przelewa do doliny  
jak mleko do glinianej miski.

**Beethoven**

Muzyka serce pochłonie,  
Gdy odchłań wylekła zbudzi —  
Paznokcie white w dłonie.  
Płaczą dorośli ludzie.  
Nie będzie niemowląt kołysać.  
Ziemia wstrząśnie za chwile.  
Wiersz taki kiedyś napisać —  
I tyle.

LINA KOSTENKO

Dzwony biją na trwogę.  
Muzyki grają do tańca.  
Bandury budzą minione.  
Surmy mkną w przyszłość nieznana.

Niechże więc dzwony wrózbne,  
wartkie radosne muzyki,  
bandury i dumne surmy  
w sercu człowieczym zostaną.

MYKOŁA TERESZCZENKO

**Akwarela**

Przejrzysty gaj. Ulotny liść.  
Jesienna jasna akwarela.  
Późny spad liści musi iść,  
Zanim umilkną pola w bielach.

Jesienna lewad pozłocistość.  
Ulotny liść. Przejrzysty gaj.  
Późny listopad rankiem mglistym  
Znow złoci mój ojczysty kraj.

Wrzucił monetę do szczeliny „juke-  
box-u”, nachylił się nad ekranem, aby  
przeczytać tytuły, aż nagle zorientował  
się, że to zbędne, że wszystkie piosenki  
w pudle i tak muszą być amerykańskie:  
nacisnął na chybił trafił dwa guziki i  
cofnął się nieco, z trudem odrywając  
oko od okrągłej plamy światła, rozjaśniającej dysk. Mimo wszyst-  
ko odszedł, znalazł drzwi WC i w chwili  
opuszczania baru usłyszał pierwsze  
słowa Red-River-Rocks:

He ho Johnnie rockin  
rocks-a-oose by the river  
ho red river rock'n'roll.

Adam wysłuchał piosenki do końca,  
wybijając lewą ręką rytm na białe  
stolika. Kiedy płyta dokręciła się, za-  
placil, wyszedł z baru, marynarz ame-  
rykański otworzył drzwi WC i przyłą-  
czył się do kolegów.

W godzinę później Adam odnalazł  
ich w lokalu na starym mieście. Jeden  
z nich poznał go, Bóg wie po czym, i  
przyciągnął go za ramię; zaczął mówić  
do niego po angielsku, na ucho; Adam  
nie słuchał; dał mu papierosa, zapalił  
go i usiadł obok niego na taburecie.  
Zamówił kanapkę z serem i salata, po  
czym zwrócił się do marynarza. Nie  
myślał o niczym, był prawie nieżywy.  
Marynarz powiedział, że nazywa się  
John Beaujolais i że przyjechał z Mont-  
realeu, z Kanady. Zapytał go potem, jak  
się pan nazywa?

— Puget-Théniers — odpowiedział  
Adam i nadgryzł kanapkę.

— Znałem francuską dziewczynę, na-  
zywała się Mireille — powiedział  
Amerykanin — odwrócił się do swoich  
kolegów i opowiedział im coś po ci-  
chu; wybuchnęli śmiechem; Adam  
przez chwilę jadał dalej; czuł, że zaczy-  
na go ogarniać znudzenie, jakby spę-  
dził popołudnie u marsjan, próbując  
kilku języków, jednego po drugim.

— Pan jeszcze na wojnie? — zapy-  
tał Beaujolais'go, skórka od chleba  
wskazując jego mundur.

— Nie, nie na wojnie — odpowie-  
dział Beaujolais — ale — military ser-  
vice, rozumie? Pan także, prawda?

— Nie, ja skończyłem — powiedział  
Adam. Przerwał, aby przelknąć kawa-  
łek chleba z salata. Dodał:

— Lubię książki amerykańskie. Bar-  
dzo lubiłem Wiggleswortha, Childa i  
tego poetę, Robinsona Jeffersa, który  
napisał Tamarę. Bardzo lubiłem Stuar-  
ta Engstrandta. Zna pan?

— Nie — odpowiedział Beaujolais —  
ja muzyk — jazz. Saxo alto. Tamtego  
roku grałem z Horacym Parlan i Shel-  
ley Manne i z Romeo Panque. Gra na  
fletcie. Ja dobrze znam Johna Erdleya.  
On jest fajny. On jest fajny — stuknął  
o kontuar zgiętym wskazującym pal-  
cem.

— Ale ja musiał wyjechać, tak wy-  
jechać, wlec...

— Tak, Stuart Engstrandt — ciągnął  
dalej Adam — tu i w Stanach nie jest  
bardzo znany, uważają go trochę za

minionej epoki, poczuć się młodopol-  
sko — to nie czytacie Tetmajera w  
dzisiejszych edycjach, lecz w wąskich,  
grantowych tomikach z lat dziewięć-  
setnych, wydanych nakładem Gebeth-  
nera i Woitfa. Wczesny Staff jakżeż  
inaczej się prezentuje odczytywany z  
pięknych książek też w granatowej  
(ten kolor widocznie wtedy był mod-  
ny) okładce, z wyzłacanymi literami  
nakładem „Księgarni Polskiej” B. Po-  
lonieckiego we Lwowie. A spróbujcie  
wziąć do ręki trzy tomy Asnyka wy-  
dane przez Księgarnię Gubrynowicza  
i Schmidta we Lwowie w roku 1880,  
wzorowane na pierwszych wydaniach  
Teubnerowskich naszych romantyków  
ze złoconym portretem autora, tłocz-  
nym na czarnej okładce — i pocz-  
tajcie wtedy te wierszyki. Będą zu-  
pełnie inaczej smakowały, jak to wino  
w odpowiednim szkle.

Może ktoś pomyśli, że to są tylko  
sugestie i wynurzenia zbikowanego  
bibliofila — jednak te moje wywody  
spotkały się z gorącym aplauzem lic-  
znego grona pisarzy zgromadzonych z  
racji stulecia urodzin Żeromskiego w  
październiku 1964 roku na Świętej  
Katarzynie u stóp Łysicy.

Uroczystości kieleckie długo będzie-  
my pamiętać, a to dzięki wyjątkowo  
trafnie i pomyslowo pomyślanemu pro-  
gramowi. Bo nie akademie, schemat-  
yczna i banalna jak większość podob-  
nych akademii, ani też przedstawienie  
„Przepióreczki” odegranej przez zespół  
miejscowego teatru — lecz dzień na-  
stępny był źródłem silnych przeżyć.

Już samo zakwaterowanie pisarzy w  
schronisku na Świętej Katarzynie da-  
ło przedsmak przyszłych wruszeń.  
Przyjechalśmy po kieleckich uroczy-  
stościach późno wieczór. Było już  
ciemno. Ale jodły szumiały jak drze-  
wa w Grudnie i dookoła unosił się za-  
pach przywędłych liści i wilgotnego  
igłwia. Byliśmy na ziemi Żeromskie-  
go.

Rano przez otwarte okna chlusał  
ten sam powiew, a przed oczyma roz-  
postarł się przepyszny widok rozległy  
i głęboki na Wilkowską Dolinę — do-  
linę Cedry. Pierwsze kroki jeszcze  
przed śniadaniem skierowaliśmy do  
źródła świętego Franciszka na skraju  
puszczy. U podnóża Łysicy unosiła się  
jeszcze ranna, jesienna mgła i nie  
wiadomo było, czy spadnie czy pój-  
dzie do góry, z czego już Maciek w  
„Panu Tadeuszu” przewidywał pogodę  
dnia. Było wilgotnie i cicho jak to  
na jesieni, tylko buki krzyczały złoto-  
czerwona barwą.

Nie umyłem sobie oczu wodą ze  
źródła. Nie zbadalem jego magicz-  
nej właściwości. Zejście było zbyt stro-  
me i śliskie. Zapewne dlatego zamiast  
widzieć to, co będzie, zacząłem coraz  
wyraźniej spozstrzegać to, co było, a  
tego dnia ta właściwość stała się bar-  
dzo przydatna. Trzeba było jeszcze się  
wspiąć ku małej kapliczce, gdzie na  
ścianie znajduje się naskrobany pod-  
pis młodocianego Żeromskiego. I po-  
myśleć, że do tego podpisu nieposłusz-  
nego ucznia (znany surowe zakazy  
uwiecznienia się na ścianach i mu-  
rach zabytkowych budowli) dziś od-  
bywają pielgrzymki tysiące ludzi.

Na dole czekały już samochody, któ-  
re powiozły nas w tę pięknie pomyślaną  
podróż do wielu miejscowości zwi-  
ązanych z dzieciństwem, młodością i  
przed wszystkim twórczością Żerom-  
skiego. Po kolei odwiedziliśmy te  
Leszczyny, Ciekoty, Mąchocice i wie-  
le innych, które potem jako Wyrwy,  
Tarniny, Stokłosy, Dersławice, uwiecz-

faceta, który pisze dla maluczkich, nie?  
Mnie się to podoba; pisze takie proste  
kawałki. Opowiada proste historyjki.  
Goście, którzy mają chęć na ładne  
dziewczęta i nabierają się na żeniact-  
kę. A wobec tego, że dziewczęta są  
ładne, wszystko układa się nie tak, jak  
powinno. Ale to morowcy, nie jak tu-  
taj. No i koniec końcem stawiają na  
swoim.

— Dziewczęta francuskie ładne, co?  
— powiedział Amerykanin. — Ja by  
chętnie ożenił się z którą...

— Tak — powiedział Adam — ja  
także.

— Słuchaj pan — powiedział Ame-  
rykanin — chcesz wiedzieć, jaka była  
Mireille! O, taka i taka; w lecie nosiła  
małe słomkowe kapelusze, jak wy to  
nazywacie? miała białego psa. Potem  
umarł, zdaje się. Ja chciał, aby ona je-  
chała z mną do States. Tak. Powie-  
działem jej — jedź, a ona — nie. A ja  
by ją kochał.

Marynarz przez chwilę wlepił oczy  
w twarz Adama. Potem zapytał:

— Napijesz się, pan?

— Nie — powiedział Adam, okręcił

nili się na kartach „Popiołów”, „Lu-  
dzi Bezdolnych” i „Wiernej rzeki”.  
Im głębiej pograżaliśmy się w zna-  
jomy pejzaż, tym bliżej czuliśmy się  
czasom i dziejom w tych i innych  
książkach opisanym.

Wtedy właśnie tak żywo przypomi-  
niały mi się moje pierwsze zetknięcia  
z „Popiołami” i młodzieńcze marzenia  
przemierzenia dróg i ścieżek, który-  
mi jeździł i kroczył Rafał Olbromski.  
Nasza obecna wycieczka w pewnym  
stopniu przypominała moje dawne za-  
mierzenia. Wprawdzie trasa, którą so-  
bie umyśliłem, była nieco inna, no i  
pora nieodpowiednia.

Co chwila padał deszcz. W rowach  
i koleinach stała woda. „Górę domo-  
wą” Radosową spowijały chmury, na  
Świętym Krzyżu leżała mgła gęsta jak  
wata. Nie odurzał zapach kwitnących  
sadów, nie śpiewały słowiki — tłukły  
się z miejsca na miejsce i wrzeszczały  
kawki i gawrony.

Mimo tych złych kaprysów pogody  
nie przerywaliśmy naszej wędrówki,  
a w każdym miejscu wyznaczonym i  
specjalnie wyróżnionym wysiadaliśmy  
wszyscy z autokarów i choć deszcz za-  
cinał twarze, a wiatr popychał z tyłu  
i z przodu, zwiedzaliśmy skrupulat-  
nie wszystkie pamiątkowe zakątki,  
słuchaliśmy interesujących wyjaśnień  
znakomitej przewodniczki i odświeżali  
dawne, własne wspomnienia.

Gdy po pięciu godzinach znaleźli-  
śmy się z powrotem w schronisku,  
wszyscy pisarze biorący udział w tej  
wycieczce byli najwidoczniej pod sil-  
nym wrażeniem, gdyż dyskusja około  
osoby Żeromskiego, którą prowadzili-  
śmy tego wieczoru obfitowała w bar-  
dzo ciekawe wypowiedzi i oryginalne  
konceptje i sformułowania. A nade  
wszystko panowała tam szczerota i  
bezppośredniość. Każdy mówił to, co  
myśli i czuje — prostymi słowami,  
tak jakby tylko dla siebie. Korzysta-  
jąc ze sprzyjającej aury i ja również  
zwierzyłem się ze swych młodzień-  
czych marzeń i zamierzeń, oraz opo-  
wiedziałem o bardzo osobistej historii  
mojej percepcji „Popiołów”.

Potem to była wspólna kolacja, po  
której rozmowy już w mniejszych gru-  
pach przeciągały się do późnej nocy.  
Na tym właściwie mogłbym skończyć,  
gdyby nie spotkała mnie miła niespo-  
dzianka, która będzie najwłaściwszą  
pointą moich rozważań.

Po dyskusji podeszła do mnie Pani  
Aleksandra Dobrowolska, kustosz Mu-  
zeum Świętokrzyskiego w Kielcach,  
chodząca encyklopedia wszystkich  
spraw dotyczących Żeromskiego, oraz  
urocza przewodniczka tego dnia, i o-  
świadczyła, że gotowa jest na wiosnę  
przyszłego roku zorganizować taką  
wycieczkę szlakiem Rafała, o jakiej  
dziś mówiłem i jaką sobie niegdyś  
wymarzyłem. Sądzi, że amatorów tej  
wyprawy nie zabraknie i skoro pro-  
jekt dojrzeje, nie omlaska mnie za-  
wiadomić i zaprosić jako głównego  
inicjatora.

Znając Panią Dobrowolską wierzę,  
że wszystko ułoży się jak najpomyślniej  
i liczę już dni, które mnie dzielą od  
tak oryginalnego po tylu latach speł-  
nienia mych bardzo młodzieńczych  
marzeń.

Konrad Bielski

się niespiesznie na taburecie i nawpół  
oparł się łokciami o skraj kontuaru;  
środkiem kregosłupa wspierał się o róg  
metalowej płyty; popatrzył na trzy  
mundury, mającące z lewej. Tak po-  
kój, składający się z rozmów z cudzo-  
ziemcami, z napiwków i wieczorów,  
pokawalkowanych bez ładu ni składu,  
mógł łatwo przerodzić się w działania  
wojenne, czerstwy chleb, w strzępek  
grozy nocą, a potem, nagle, w wojnę,  
brak chleba i kronikę wybuchów, ka-  
nonady, krwi, czarnych dymów. Odga-  
dował wojny we wszystkich punktach  
globu; miał w mózgu dziwną cząstkę,  
która napierała na inne, coś w rodzaju  
dżungli, doprawdy dziwna przyroda,  
roślinność z drutów kolczastych, rodzaj  
lian twardych i sztywnych, mających  
zamiast liści co dwanaście cm rodzaj  
kolczastego węża.

Ale najważniejsze, to wiedzieć, gdzie  
się obrócić, kiedy wojna wreszcie się  
skończy. Można robić interesy, uczyć  
w szkole, albo przez całe życie pisać  
powieści, mówiące o wojnie. Ostatecz-

**ROZMOWY**

J. M. G. LE CLÉZIO

Zamieszczamy poniżej fragment po-  
wiesci J. M. G. Le Clézio „Protokół”.  
Książka ta, pierwszy utwór młodego  
autora, uzbudziła w ubiegłym roku Prix  
Renaudot, jedną z najważniejszych  
francuskich nagród literackich — kry-  
tyka francuska rokuje młodego auto-  
rowi dużą przyszłość. Dla zorientowa-  
nia czytelników należy podać, że po-  
wiesć, stanowiąca gwałtowny protest  
przeciwko pewnym formom współcze-  
snej cywilizacji oraz przeciwko wojnie  
— ujęta jest w formę narracji człowie-  
ka niezwykle normalnego, stąd  
swoisty styl, miejscami przechodzący  
wręcz w belkot. Powieść Clézio ukazuje  
się w polskim przekładzie nakładem  
PIW-u; autor, żonaty zresztą z Polką,  
był już w Polsce i prawdopodobnie  
jeszcze raz odwiedzi nasz kraj.

(A. T.)

NASUWAŁO się pytanie, czy stawa-  
nie fałszywych problemów  
nie przeszło u niego w nawyk.  
Przed zadecydowaniem wracał do tego  
parokrotnie; tu i tam szukał odpowie-  
dzi, odwołując się do starych pocztów-  
wek, otrzymanych w przeddzień świąt,  
zużytych albo o miesiąc późniejszych  
kalendarzy, nawet do zaleceń dzied-  
ków. Parę osób ofiarowało mu aperitif,  
szklaneczkę cinzano na chybicka, ale  
zablił sobie świeką w głowę. Odmawiał  
poczęstunków i usiadł w głębi baru,  
oparłszy się plecami o ścianę. Kładł  
naukę na fakt, że teraz musi być naj-  
starszy ze wszystkich, tak około dwu-  
dziesięto-ośmiu-trzydziestu. To w sam  
raz wiek, jeśli w ogóle taki istnieje,  
aby wszystko rozumieć w pół słowa i  
rwać się do czynu, zwłaszcza, gdy cho-  
dzi o decyzje tego typu.

28 sierpnia, w pełni upałów, w pełni  
lata; godzina 19 minut 30; popatrzył  
prosto przed siebie, poza bywałców ba-  
ru, którzy majaczyli na pierwszym  
planie, i stwierdził, że jest już ciemno.  
Wybrał ten bar starannie spośród kil-  
ku innych, odwiedzanych przez Miché-  
le. Czekał przed szklanką oranżady,  
usiłując sobie przypomnieć.

Trzech amerykańskich marynarzy,  
prawdopodobnie pijanych, weszło do  
baru, śpiewając amerykańskie piosenki.  
Adam obserwował, jak stają, opie-  
rając się o kontuar, tuż przy kasie. Jed-  
nen z nich odłączył się od pozostałych  
i przeszedł w stronę stolika Adama.

**C**ISNAŁ za siebie garstkę prochu, która została mu w pięści i zaczął pilnie przyglądać się okolicy. Z prawej strony wzgórze opadało łagodnie w rozległą dolinę. Schodził tam też sosnowy las. Jeszcze dalej za jego skrajem widniała linia gęstych krzewów. Fawno był tam jakiś jar, i dalej znowu były pola uprawne, wśród których widać było plowę wstęgą polnej drogi.

Szymon patrzył dłużej w tamtą stronę. „Jeśli mają głowę na karku, to przyjdą z tamtej strony” — mruknął pod nosem. Zaczęło mu się już dłużyć, a i trochę niespokojny był, boć to już południe minęło, a chłopów jak nie widać, tak nie widać. Teraz jego oczy pracowicie przeglądały wszystko, co znajdowało się w polu widzenia. Umówili się wszak na tym wzgórzu, na skraju lasu. Nie mogą iść inną drogą. Patrzył i patrzył, i cierpliwie odpędzał niespokojne myśli.

Ale Susło i Kosa przyszli zniemacka i zupełnie inaczej, niż oczekiwał tego chłopiec wychowany w warunkach życia miejskiego. W momencie gdy z wielkim natężeniem obserwował jakieś dwie ludzkie sylwetki za pasem krzewów podległych, w nadziei, iż to właśnie oczekiwani spiskowcy, z tyłu za nim usłyszał jakby oddech. No, to było zupełnie tak, jakby ktoś się nad nim nachylił, zupełnie blisko nad karkiem, wtedy się słyszy nawet najbliższe technienie.

Tokarzewski zdrewniał. Skóra na nim ścierpała do tego stopnia, że aż w okolicach skroni uczył ucisk, niby od żelaznej obręczy. Ale opanował się i powoli pchylił głowę na ręce, które miał złożone pod pierśiami. Z tej pozycji usiłował dojrzeć, co się dzieje za nim w lewo i w prawo. Ale bał się, że ten ktoś przejrzy jego zamiary i... Niespokojna myśl poddawała wszystkie możliwe rozwiązania. Oto w prawo grupa drzew i dół, skoczy tam... No i cóż, że skoczy... Co więc należy robić? Uspokoić się. To wszystko. Papiery ma w porządku, i przecież to nie musi być wróg... Odetchnął głęboko. Teraz podciągnął prawe kolano aż pod brzocho, lekko unosząc cały tułów, i nagle uczynił gwałtowny obrót, mocno odpychając się od ziemi lewym łokciem i pięścią. Stał.

Patrzyli na siebie przez dobrą chwilę w zupełnym milczeniu i Tokarzewski parsknął naraz krótkim urywaniem i nerwowym śmiechem.

— A jednak zaskoczyliście mnie — powiedział do Balcera Susły, którego dobrze znał. — Tak zaskoczyliście, że muszę szczerze wyznać, iż wstyd mi...

Ten drugi chłop, wielki i trochę ponury, o długiej dolnej szczecze, jasnych oczach i kudłatej czarnej głowie, uśmiechnął się. Uczynił to tak, że Szymon zatrzymał na nim spojrzenie, zaskoczony i jakby oczekujący czegoś jeszcze poza tym cichym śmiechem, który tylko rozszerzył jego wargi i wzdął oba policzki.

Susło był nieduży, suchy i zwinny jak wiewiórka; miał też nieco rudawe włosy na głowie i zupełnie rude wąsy, które widocznie strzygł dość często, bo

były krótkie i prawie od razu łączyły się z równie krótką rzygą bradką.

— Wcale nie chcieliśmy was zaskoczyć, Szymonie — powiedział Susło i zerknął na Kosę. Z gardzieli tamtego dobyło się coś na kształt bulgotania. Krępował się widać młodzieńca, którego widział pierwszy raz, więc stłumił parokazyzm śmiechu. Tokarzewski wzruszył ramionami.

— Czy chcieliście, czy nie, zaskoczyliście i już. Zagapiłem się. A nie powinno tak być.

Teraz odezwał się nowo przybyły chłop i Szymon z przyjemnością wsłuchiwał się w głośną, niską barwę jego głosu.

— Nikt nas nie powinien błąd widzieć, gdy szliśmy tutaj. A las chroni najlepiej.

— Tak, lecz wszak to z innej strony.

— My trochę leśni ludzie — mówił dalej Kosa — w lesie każda struna jest dla nas dotra. Trzeba było tylko nadłożyć drogi.

— Trzeba już myśleć o przyszłości — odezwał się Susło — O tej samej przyszłości, w której las będzie naszym przyjacielem, takim samym jak broń w rękach.

Tokarzewski popatrzył na niego.

— O czym mówicie?

— Wy wiecie tak samo dobrze, jak my obaj, — zaśmiał się chłop. — Spocznemy trochę obok was.

Usiadł nieopodal Tokarzewskiego i obok niego wyciągnął się też Kosa.

— Godzina już blisko, tylko patrzeć, jak wybiję, i nasz Ściegienny poprowadzi chłopów na panów i królów, trzeba już myśleć o lesie jak o troni, i trzeba w nim uczyć się żyć.

Zamilkł Tokarzewski pokiwając głową. Prędko rozchodzili się tu wieści. Spojrzył na Balcera Susłę.

— Skąd wiecie o tym? — zapytał cicho.

Chłop pokręcił głową i nie powiedział.

— Pytam was, bo mam prawo — mówił poważnie młodzieńca. — Wiecie najlepiej, że tego rodzaju wiadomości powinny rozchodzić się ostrożnie i docierać wyłącznie do uszu powołanych do usłyszenia ich. Sekret, wydany przed czasem, może wszystko zepsuć, a do wody choć niedaleko, ale i niebłisko...

— Powiem wam coś, a wiem, że wolno mi do was mówić więcej, niż do kogo innego, powiem wam, że przed trzema dniami, gdy byliście u Karola, a potem do późnej nocy u Pantoczka, siostra Sabina uczyła nas wielu pożytecznych rzeczy, które bardzo przydadzą się na wojnie, nas, to znaczy wybranych na razie do tworzenia kół bojowych i do dowodzenia nimi.

Patrzył bystro na Tokarzewskiego i nikły uśmiešek poruszał jego krótkie, rude wąsy.

— Widzę, że was to trochę zaskoczyło — popatrzył na Kosę i mruknął porozumiewawczo, wcale się zresztą nie kryjąc z tym przed Szymonem — Muszę wam jeszcze i to powiedzieć, że Kosa jest jednym z dowódców, a o was wiemy, że jesteście z tych najbliższych i najbardziej zaufanych ludzi naszego Ściegiennego.

Tokarzewski ważył przez chwilę w myślach to

wyzwanie. Zaiste nie wiedział nic o tym, że organizowanie kół wojskowych Związku Chłopów w Kielecczyźnie aż tak daleko było zaawansowane. Powiedział:

— Widzę, że nie tracicie tu czasu. Naczelnik wielce będzie temu rad. Doceniam to wszystko, ale powiem wam, że wolałbym ja zaskakiwać, niż być zaskakiwanym, jak to się dotąd dzieje między nami.

Zaśmiali się. Kosa wyjął z kieszeni woreczek i fajkę. Zgniół w dłoniach suche liście tytoniu, napchnął nimi fajkę, a potem zrzęcznie skrzesał ognia i zaciągnął się dymem z wyraźną przyjemnością.

Susło patrzył naokolo.

— My tak gadamy o zaskoczeniu, a sami możemy komuś podpaść pod ręce.

— Eee, — powiedział Kosa z niewiarą w głosie i pyknął parę razy.

— Siostra Sabina... — mruknął do siebie w zamysłu Tokarzewski. Z imieniem tym już kilkakrotnie spotkał się w czasie swego pobytu w Kielcach i w Bilczy. Wiedział, że to siostra Franciszka Fantoczka, i nie była mu obca wiadomość, że pracuje dla Związku, lecz, że uczy chłopów, którzy mieli dowodzić w boju... Nie, o tym nie słyszał.

Susło patrzył na niego i widać odgadł jego myśli, bo od razu zareagował żywo i namiętnie.

— Nie myślcie, że to taka sobie kobieta, jak każda inna. Żebyście wiedzieli, jaką ona ma głowę... z uznaniem lypnął oczami — I wszystko wie... Nawet wie, jak trzeba osadzać kosy na sztorc i ile trwa wyrób stu takich kos.

— Z Radomia mają nam przysłać jakiegoś oficera z trzydziestego roku. Będzie nas uczył dowodzenia, jak w szkole uczyli podchorążych — odezwał się Kosa. — Ona tylko wszystko organizuje. Setny towarzysz z niej i można powiedzieć — święta...

Zamilkł Tokarzewski obserwował dwie sylwetki ludzkie, niewyraźne z powodu odległości. Docierały na szczyt przeciwnego wznieśnienia terenowego i szły wzdłuż szerokiego łąnu zboża, ale oczami duszy widział postać Ściegiennego. Wiedział, że Naczelnik żywo reaguje na wszelkie wiadomości z tutejszego terenu. Opowie mu o tej dzisiejszej rozmowie, ale tymczasem musi i on trochę zaskoczyć Susłę.

— No, mamy jeszcze nieco czasu — odezwał się niewinnie — musicie odpocząć zanim ruszymy dalej. Powiem wam więc nowinę, która być może jeszcze do was nie dotarła. — Popatrzył na Susłę.

utrwał się on jako człowiek nazbyt dobrze mniemający o sobie, czym nie mógłby absolutnie pożytkować mojej sympatii, na której z pewnością wcale mu nie zależało. Nigdy nie lubiłem ludzi chłodnych, w sobie zadufanych, ale przyznać muszę, że rozmowy z Wulkanowskim były bardzo interesujące, a umysłowość jego — ciekawa i oryginalna.

Brutus nie miał do niego nabożeństwa jako do reżysera, ale uważał, że dobrze jest od czasu do czasu zetknąć aktorów z kimś z zewnątrz. „Taki plodozmiar reżyserski potrzebny jest zarówno im, jak i mnie. Zresztą Wulkanowski od lat śleczal nad „Nieboską”, ma doskonale rozpracowaną partyturę i sądzę, że praca z nim będzie bardzo cenna”.

Na pierwszą próbę zaprosił Wulkanowski miejscowego filologa, specjalistę od dramatu romantycznego, profesora Lopina, co nadało spotkaniu jeszcze bardziej uroczysty charakter. Obecny był Ferajno z taką pierwszych szkiców, przyszedł również Brutus, który zagaił zebranie i zaapelował do aktorów o „przyłożenie się do pracy nad tą szczególnie trudną i odpowiedzialną pozycją repertuarową”. Ale Erutus nie pozostał na próbie do końca. Przeprosił Wulkanowskiego, że ma bardzo ważne zajęcia, wyszedł i już się nie pojawił. O Brutusie mówiono, że rad zapraszał obcych reżyserów do swojego teatru, by na te rezultaty ich pracy tym wyraźniej blazowały jego własne osiągnięcia. Nie wlem, może to i prawda, zwłaszcza, że Brutus zupełnie nie interesował się przebiegiem prób, a w przypadkach konfliktów między reżyserem i aktorami, zgłaszał désinteressement, oświadczać: „Nie mnie to nie obchodzi, nie ja jestem reżyserem sztuki”. Pilnie natomiast nasłuchiwał opinii, zwłaszcza gdy były one dla obcego reżysera niekorzystne. Z drugiej strony jednak należy zauważyć, że sam reżyserował większość sztuk, reżyserów innych zapraszał rzadko i starał się zabiegać o ludzi znaczących coś w teatralnym świecie. Gdyby było tak, jak o nim mówiono, powierzałby pracę nad sztukami reżyserom słabym i zapraszałby ich częściej, niż to czynił dotychczas.

Aktorzy istotnie zaczęli na Wulkanowskiego narzekać: że mędził, że rozczepia włos na czworo, że po co te

drobiazgowo ustalenia, skoro i tak w próbach sytuacyjnych wszystko ulegnie zmianie, bo nigdy się jeszcze nie zdarzyło, aby to, co ustalono przy stoliku, sprawdziło się później w konkretnej robocie. A kiedy przyszło już do prób na scenie, chodzili podenerwowani, że Wulkanowski za wiele gada, a niczego nie pokazuje. „Tu nie szkoła, z samego tylko gadania chleba nie będzie”. O ile może sądzić, aktorzy nigdy nie są zadowoleni ze swego reżysera. Wulkanowski był zły, bo wciąż teoretyzował, ale przypominał sobie, że równie zgorzeleni byli wówczas, gdy Fojan Stupica z Pełradu reżyserował pościnie „Baronową Lenbach” Mirosława Krleży. „Co to za reżyser — wydziwiał — który pokazuje, jak należy chodzić, gdzie usiąść i kiedy wieszać kapełusz na haku”. Bojan Stupica stanął całkowite przeciwieństwo Wulkanowskiego. Starał się wszystko ustalić sam, każdego aktora naginał do swych koncepcji, jednemu kazal kuleć, innemu mówić prędko, jeszcze innego zmusił do jankania się. BGS twierdził, że Bojan reprezentuje system dziełnastawieczny, pieklił się, że skompromituje się jako aktor, gdy zagra tak, jak mu „ten Jugosłowianin każe”, ale na próbie poddawał się jego woli i nakazom. „Ostatecznie reżyser odpowiada za przedstawienie, nie aktor. Chce, żeby było tak, niech będzie tak, co mnie to w końcu obchodzi”. Nieprawda. Obchodziło go, ale nie miał odwagi podjąć ze Stupicą dyskusji w obawie, że tamten uzna jego niezdecydowanie za brak zaufania, czego jednak BGS chciał za wszelką cenę uniknąć.

W buciele aktorzy burzyli się na Wulkanowskiego. Palmę pierwszeństwa chwycił Arkadiusz Burek. Jego sceny Wulkanowski poprawiał po kilka, a nieraz kilkanaście razy.

— Nie rozumiem, czego on ode mnie chce. Niepodoła mu się mój nos, moja głowa, czy ja cały. Mówię przecież wyraźnie: „chleba, chleba!” A ten za każdym razem: źle i źle. Nie z takimi reżyserami pracowałem i było dobrze. Nawet Brutus jest ze mnie zadowolony. Jak ja mam mówić te dwa zwyczajne słowa!

— Ty się, Kadek, nie denerwuj. Do tej pory grałeś przeważnie królów i arystokratów. Słusznie. Jesteś do ta-

kich ról stworzony. A teraz nagle każą ci grać jakiegoś tam kmiecia czy rzemieślnika. Nie dziwnego, że ci nie wychodzi. Ja na twoim miejscu nie mówilibym: „chleba, chleba”, bo to nazbyt preste, nazbyt ludowe. Spróbuj powiedzieć: „pieczywa, pieczywa!” Zobaczysz, że ci wyjdzie. Zygier zachichotał. Brutus poczuł się dotknięty. „No, wiesz”. Ale nie powiedział nic więcej, tylko w milczeniu copiał kawę. Aktorki zachwyciły się scenografem Ferajno. „Cóż to za inteligentny człowiek. Po prostu sam czar. I jaki przystojny”. Istotnie, Ferajno był szczupły, wysoki, budowany harmonijnie, głowę miał kształtną, choć nieco przymałą, włosy ciemne, zaczesane — jak to było w modzie — na Juliusza Cezara. Chętnie rozmawiał ze wszystkimi, nie oszczędzał się, był niezmiernie dowcipny. Na próbach siedział tuż obok Wulkanowskiego, czasami nachylał się ku sobie, wymieniając jakieś sprostowania, częściej Ferajno zapisywał coś w swym notesie lub rysował w szkicowniku. W czasie przerwy dosiadał się do którejś z aktorek i opowiadał skomplikowane historyjki, żywo gestykulując. Szczególny urok rzucił na Annę Gierman, wyśoka jak on, która mając kompleks na punkcie swego wzrostu, nosiła buty wyłącznie na rękawkim obcasie. Ferajno działał na nią jak fakir na węża, wciąż poszukiwała jego towarzystwa, pod jego spojrzeniem topiła się jak masło. Miał proste, niezawodne sposoby na ludzi nieinteligentnych: o niczym nie mówił prosto. Najwykleszą rzeczą bierał w wyszukane słowa, komunikując je tak, jakby cho-tyło o coś zupełnie wyjątkowego. Gierman śladywała w buciele na wprost niego i wpatrzona w Ferajno jak w „Sad Ostateczny” Michała Anioła, zaplatała ręce w nabożnym zastuchaniu. Ferajno nie powiedział nigdy: „okno”, lecz „ta szklana płaszczyzna, oddziela jąca nas od świata”. Ulicę nazywał arterią komunikacyjną, okrągły plac — rotunda, wywody swoje okraszał gesto cytatami z nieznanych dzieł nieznanych pisarzy. Podслуchałem kiedyś jego rozmowę z Anną Gierman. Nie trzeba było zresztą specjalnie podслуchiwać. Siedzieli w buciele przy sąsiednim stoliku i głośno rozmawiali.

# POTOMKOWIE TESPISA\*

JAN KOPROWSKI

A jednak nie głupszego, jak głupi artysta.

Józef Korzeniowski: „Majątek albo imię”

**Z**APOWIEDZIANE próby „Nieboskiej” rozpoczęły się w początkach czerwca. Premiera miała się odbyć w połowie września na otwarcie nowego sezonu, po przerwie urlopowej. Na reżysera dramatu zaprosił Erutus znanego teoretyka teatru, Wulkanowskiego, który przyjechał z Warszawy własnym autem i w każdą sobotę wyjeżdżał na trzy dni do domu. Do sporządzenia projektów dekoracji i kostiumów zamówiono, po konsultacji z Wulkanowskim, młodego wybijającego się scenografa z Krakowa, Ferajno. Wulkanowski znany był naszym aktorom, przed paroma laty inscenizował u nas „Don Juana”, natomiast Ferajno, o którym wiedzieliśmy jedynie z recenzji prasowych, wywołał zrozumiałe zaciekawienie wśród aktorów i pozostałego personelu. Wulkanowski, jak każdy artysta mający coś do powiedzenia, budził u jednych podziw i szacunek, u innych — niechęć i dezaprobate. Uchodził za człowieka doświadłego i wymagającego, u którego wiedza teatralna niezupełnie szła w parze z praktycznymi umiejętnościami jej wykorzystania. Mucholap nazywał go „największym bibliotekarzem na tym padole leż”, co Wulkanowskiego jako reżysera kompromitowało zdecydowanie w jego oczach. W mojej pamięci

\* Fragment powieści.

## pt. „Ballada chłopska“

który wyraźnie nastawił uszu z ciekawością i z niepokojem. — Ta nowina dotyczy wyłącznie was. Susło przyłożył rękę do piersi.

— Mnie? — zapytał zdziwiony.

— Was, i to jak najbardziej.

— I cóż to takiego?

— Już niedługo a pojedziecie do Naczelnika na stałe.

Chłop aż poderwał się z ziemi.

— Jak to na stałe?...

— Ano, na stałe. Będziecie wozie Naczelnika jako stangret, bo teraz on dużo musi jeździć. A jak przeniesie się do Chodła na probostwo, to jeszcze więcej....

Czekał teraz, pewny wrażenia, jakie wywarły jego słowa na otu towarzyszy. Zemdlił się odrobina za te zaskoczenia i czuł radość w głębi ducha. Nie lubił bowiem być pod spodem....

— Ale tylko tak wam to mówię, bo Naczelnik sam da znać, jak mu to będzie potrzebne.

Tak oto skracali czas odpoczynku, i było w tym coś z igrania w koleżeńskim gronie. A przecież zupełnie co innego było istotą życia tych dwóch chłopów, którzy oto za chwilę wstaną i poprowadzą Szymona na miejsce spotkania z innymi spiskowcami.

Kosa pykał dalej z faj, wpatrzony w zamyśleniu w kołyszące się czuby wysokich sosen. Susło medytował nad uszyszaną nowiną i widać było z jego miny, że rad będzie pojechać do Naczelnika. Odezwiał się nagle:

— Tylko jak będzie z moją?...

— O ile wiem — odpowiedział poważnie Tokarzewski — Naczelnik planuje zabrać was z całą rodziną, i to na stałe. Złe wam nie będzie.

Oczy chłopów zaświeciły się od radości wewnętrznej.

— Bóg wam zapłać za dobrą wieść — powiedział i aż ukląkł z nadmiaru wrażeń i uczuć. Tokarzewski i Kosa leżeli dalej. Chłop pykał co chwila z fajeczki.

— Mojej to już nie pomoże — mruknął naraz, ciągle wpatrzony w podniebne czuby sosen. Milczeli. Po chwili Kosa mówił dalej:

— Ładna była kobieta... Za ładna...

Susło trzącił młodzieńca w bok. Szymon popatrzył na niego i zrozumiał, że nie trzeba o nic pytać Kosę. Zresztą nietrudno było odgadnąć, o co chodzi. Po dobrej chwili znów usłyszeli jego głos.

— Z początku nie przeczuwałem nic złego. Pan przez ekonomia kazał jechać wozami aż do Warszawy. Wiadomo, droga niekrótka i niełatwa. Do tego oba konie padły. Padły, psia krewo, ale na pewno

nie z powodu choroby. Teraz to już wiem... Ale wtedy myślałem, że to dopust łoży. Ekonom kazał czekać w sądzie i nie ruszać się ani na krok; pilnować towaru na wozie. Więc pilnowałem i ani kroku nie odstąpiłem od wozu. Tak zeszedł cały miesiąc. A kiedy przysłali konie...

Kosa machnął ręką i usiadł. W drugiej ręce trzymał wygasłą fajkę. Nie patrzył na nich i właściwie nie było wiadomo, czy do nich adresował to opowiadanie. Może musiał mówić, poskarżyć się komuś...

— Żety jeszcze to, to byłoby pół biedy — ciągnął Kosa. — Ale oni zatrzymali ją w domu przez lato, jesień i pół zimy. Aby jako pokojową. I nie wdywalem się z nią. Kilka razy spróbowałem w nocy. Za pierwszym razem złapał i kazał bić kijami. Dodał też daremszczyzn, że nie było ani siły, ani czasu... Ale poszedłem jeszcze raz, też w nocy. Jakby czekali na mnie. Poszczuli psami i... Chłop wykrzywił się żałośnie, podciągnął nogawicę swoich zgrzebnych portek i pokazał na tydce wielką bliznę. Mieśnię został wyszarpany. Podciągnął drugą i znów pokazał ogromny ubytek. Dotknął palcami pośladek i łoków i mruknął, ciągle zapatrzony gdzieś w przestrzeń. — Tutaj też...

Tokarzewski przeknął ślinę. Nie mógł oderwać oczu od Kosy.

— Wróciła wreszcie. Nie nie mówiła. I już była na nie. Podobno kazali jej zepsuć dziecko. I od tego się zaczęło. Teraz jest popsuta od środka, i tylko śmierdzi jak do niej podejść. I nie w domu nie zrobi, nie mówiąc już o polu. Zupelnie słaba... Jak dziecko...

Splunął między nogi. Pomilczał i wreszcie odezwiał się twardo, jakoś inaczej, bo dotąd jakby skarga brzmiała w jego głosie. Teraz głos bulgotał mu aż gdzieś w głębi piersi, jakby w jakiejś jamie.

— Ja wojny z panami wyglądam, jak ptak słońca. Mam tu jednego pana, z którym trzeba mi pogadać przy okazji. I nie tylko z nim. Z ekonomem tak samo, i ze starszym paniczem, i jeszcze z jednym z Kielec, który tu przyjeżdżał na karty. Tyle wiem.

— Dawajcie mi prędzej tę wojnę! — krzyknął naraz i wyciągnął przed siebie zwarte aż do zasinienia pięści. Twarz mu się wkrzywiła i z piersi dobył się jęk — Dajcie mi tu tę wojnę z panami — wyszeptał i boleśnie pokijał głową.

Tokarzewski siedział jak rażony piorunem. Nie śmiał ruszyć palcem. Frzecież dokładnie wiedział, jakich potwornych nadużyć i zbrodni dopuszczają się panowie i ich studzy na chłopach oddanych im w poddaństwo. Znal liczne przykłady bezprzykładnego okrucieństwa świadomego lub płynącego z bezmyślności, lecz ból tego wielkośda przytłoczył go i zamknął mu usta. Bo i cóż mógłby mu powiedzieć? Ale widać trzeba tu było coś dodać, bo nagie zabrzmiął głos Susły:

— Cichaj, Kosa. Zobaczysz, jeszcze wszystko będzie dobrze. Jak Ściegienny dojdzie do głosu, wszystkim nam się odmieni. I odplatę też sobie weźmiesz. A to już niedługo. A ty pamiętasz, jaki to był

posłuszny i zapatrzony w panów? — Zawiesił głos i czekał.

— Pamiętam — wziął się za głowę Kosa — Pamiętam...

— A widzisz. A teraz już wiesz co innego. Ze nie od panów trzeba czekać odmiany i że między nimi i nami wielka woda, której i lodzią nie przepłyniesz. I tacy, którym panowie folgują, żęty ich bronili, tacy są najgorsi, bo to nasi i nie zawsze można poznać, że coś nas, to ołcy, bo skołowani.

— Takim trzeba tłumaczyć — żywo wtrącił Tokarzewski — Trzeba im czytać „Złotą księżeczkę“.

— Toć przecież czytamy i dajemy, i nauczamy, jak nam przykazał Ściegienny. Tylko, że nie zawsze chcą słuchać.

— Coraz więcej chłopów rozumie, kim są dla ludu panowie — mruknął Kosa.

— Ze jak się pobiją z Moskalami, to dla nas żadna różnica, kto będzie górą.

— Naczelnik tak właśnie uczy — wtrącił Szymon. — Ze oni mają swoją ojczyznę, a my mamy naszą, i nasza jest prawdziwa, to to jest ojczyzna ludu, a lud to prawie cały naród. Panów jest ledwie garstka.

— Trzeba nam było o tym wcześniej mówić — powiedział Kosa — Może niejedno zło odstąpiłoby od ludzi.

— Wszystko dzieje się w swoim czasie — pokwał głową Tokarzewski. — I lepiej późno, niż nigdy. Lud wyjdzie naprzeciw czasom, które nadchodzą. Nie będzie czekał, lecz wyjdzie naprzeciw. To sobie zapamiętajcie. Skróćmy ów czas, pod warunkiem, że wszyscy muszą myśleć jednakowo i jednakowo przygotować się do ruszenia naprzód.

— Ja jestem gotowy — mruknął Kosa.

— Wy dobrze wiecie, jak jest — wtrącił Susło.

— Nie można powiedzieć, że jest najlepiej, ale ta sprawa w miejscu nie stoi. Trzeba by tu głosu Naczelnika: żęty od czasu do czasu przemówił do ludzi. Zaraz by nas było więcej.

— Na razie „Złota Księżeczka“... — podchwycił żywo Szymon. — Ona najlepiej przekonuje chłopów. Jej głos, to jakby głos Naczelnika. A jak tam odpisy, rozdaliście?

— Rozdaliśmy — odpowiedział Susło. — Teraz chłopki bardzo rzadko boja się brać ją lub słuchać. Od pewnego czasu baby też się za to wzięły. Mają odpisy z Kielec, pewno od tej z apteki.

— Cd siostry Sabiny.

— Tak.

— Ciekawe, ciekawe — mruknął Szymon i obiecał sobie, że natychmiast owoie Ściegiennemu o działalności siostry Sabiny. — No, a jak broń?

— Pobi się... Czeka na pańskie brzuchy — zachichotał Kosa i Szymon poczuł ciarki wzdłuż krzyża.

— To dobrze. A więc o szczegółach powiecie mi na miejscu.

— To idziemy.

Nie tyle była to rozmowa, ile przyrywany z rzadka monolog Ferajno, który mówiąc, marszczył kwi i wydymał usta, co jeszcze bardziej zachwyciło wysoką i długonogą Annę Gierman.

— Rola, którą kreuje pani w „Nieboskiej“, tylko z pozorów sytuuje się na marginesach dramatu. W istocie w postaci tej mamy do czynienia z ekstraktem wysublimowanych uczuć arystokratki młczącej, omal niemej dlatego, że świadoma jest zagłady swojego świata. Widziałem panią na próbach. Jest pani o krok od stworzenia kreacji. Jeżeli pozwoliłbym sobie na jakąś uwagę...

— Ależ proszę, bardzo proszę — Gierman była samą prośbą, samym oczekiwaniem.

— Otóż, jeśli ważyłbym się na jakąś uwagę w stosunku do pani scenicznego wysiłku, to przede wszystkim tę: zerwać z jakimkolwiek znanymi sobie wzorami z tak zwanego życia. Unieścić życie, powołać symbol. Widzi pani, dopóki siedzimy przy tym stole i patrzymy na niego jako na mebel, na którym spijamy kawę i konsumujemy środki odżywcze, dopóty on jest tylko stołem. Ale spojrzmy na niego jako na przedmiot czystej abstrakcji, od razu wyda nam się on rzeczą pełną znaczeń, kryjącą w sobie niesłychane możliwości dla twórczej wyobraźni. Dlatego kostium, który pani zakomponowała, jest autentyczny i nieprawdziwy zarazem, prosty i skomplikowany, szary i kolorowy. Tak jak postać, którą pani — tego jestem pewien — powoła do innego wymiaru na scenie.

— Mam niesłychanie trudne zadanie — wtrąciła wniebowzięta „Giermanka“.

— Rzekomo najłatwiejsze zadania są w istocie rzeczy najbardziej skomplikowane. Hrabia Henryk dysponuje wszystkimi o sobie danymi. Pankracy tak samo, wiemy o nich niemal każdy szczegół od początku. Do pani roli musimy dobudować całą mitologię postaci. Proszę zrozumieć: sztuka teatralna nie jest sztuką intuicyjnych igraszek, jest stalową konstrukcją in-

telektu. Proszę spojrzeć na moje projekty dekoracji: na pozór nie wiadomo, o co chodzi, w gruncie jednak wyłania się z nich plastyczny kształt dramatu przeczuwanej rewolucji.

Anna Gierman wyszła z bufetu z bólem głowy, ale i z przekonaniem, że chwyciła za nogi samego Pana Boga. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, ba! byłem nawet tego pewien, że Ferajno potężnie sobie z niej zakpił, tak jak podrywał z pięknej Salińskiej i z Dzidzi Piernik czyli Wisławy Frygi.

Próby „Nieboskiej“ wlokły się całymi tygodniami. Prawdziwy dramat zaczął się w chwili, gdy Wulkanowski przystąpił do montowania scen zbiorowych. Nie miał talentów organizacyjnych Brutusa, zresztą był gościem i nie mógł pozwolić sobie na to, na co pozwalał sobie Brutus jako gospodarz i dyrektor teatru. Niechby coś u Brutusa nie klapowało! Z miejsca zrobiłby awanturę, zwymyślał od ostatnich, a na dodatek winnym zasądziłby karę pieniężną. Wulkanowski postępował z właściwą urodzonemu inteligentowi uprzejmością. Kłopoty jego powiększał jeszcze fakt, że aktorzy, przyzwyczajeni do ról dużych i pierwszoplanowych, w jego inscenizacji „Nieboskiej“ grali rolek epizodyczne, a niekiedy nawet statystowali. Nie mogło im się to podobać. Toteż próbowali jak z łaski, o nosząc swój ból obrażonych bohaterów, którzy miał przemawiać do narodu, wtopieni zostali w tłum i musieli wystąpić w innych. Na kilka dni przed urolopem dyscyplina na próbach rozpręgała się całkowicie. Wulkanowski zdecydował próby zawiesić i wznowić je dopiero po przerwie urolopowej. Decyzję swoją zakomunikował Brutusowi. „Aktorzy są zmęczeni pracą całego sezonu i wcale im się nie dziwię, że nie dają z siebie tyle, ile by mogli i na ile ich stać“.

— Nie mam nic przeciwko temu — powiedział Brutus. — Co prawda aktorzy zanadto obrośli w tłuszcz, zady mają ciężkie i ja na pańskim miejscu wcale bym się ich dołą nie przejmował, ale jeśli pan tak chce...

Wulkanowski zasmiał się nie bez przymuszenia. Co jak co, ale język Brutusa wcale mu nie odpowiadał.

Jan Koprowski



Fot. A. Czerepiński  
Wiedźmia Filipiak — Portret (olej)

Z WYSTAWY „20 LAT PRL W TWÓRCZOŚCI PLASTYCZNEJ“  
W SWA W LUBLINIE

Wyhodowałem ciebie moja dzika duma  
perłową karmą marzeń, z mlecznych dróg czerpaną  
myśli złotych szaleństwem... dziwnie bez rozumu  
poilem miodem słońca w każde jasne rano...

Byłaś mi, jak cięciwa, strunnie naciągnięta  
na dalekie mych myśli pierzastych wyloty,  
które pęd po wszechświecie ze szczeniem opętał  
i roztrwonil wśród mgławic spiralnych obrotów.

Przełom ciebie — stalową — rękami ugładzał,  
żarzył w białe oslepiłym oblakaniu żarów,  
bom wiedział, że jest w tobie wielka ognia władza,  
że hukniesz kiedyś gromem w bluznierstwie  
[bezmiarom]

I dziś nie wiem dobrze — moja wielka duma —  
jaką wyjdiesz z mych krwawo utrudzonych dłoni:  
czy podobna Jowisza wszechwładnym piorunom,  
czy... lufie rewolweru zwróconej ku skroni.

(„Nurty” 1933, nr 10)

Dzień mi rozdzwonionym tramwajem mimo przeszedł  
i tłuką krwi miękkie młoty w syczenie ciszy.  
Z przyszłości dalekiej, może nigdy nie przyszłej  
twój ku mnie — syneczku — czeremchowy uśmiezek.

W kurzawę rycerskich dróg, w słoneczne galopy  
nie ruszy kulawy kowal. Rękę ze zbroją  
wyciągnę ku tobie. Pokornym niepokojem  
warować ze wzrokiem u konia twego kopyt.

Myśli mych dziewczyny nadeszły. Spiewnie niosą  
na twoje różowe, laskawe narodziny  
narecza księżycy pełne, mięty i wrzosów.

Jeszcze ciebie nie ma, a już przelic dla ciebie  
niekielezny bachmat dumy pozrywał liny  
i złotą podkową grobowe doły grzebie.

(„Odrodzenie” 1936, nr 6, kolumna literacka „Cięciwy”)

Jeden z poetów lubelskich, urodzony dnia 26 kwietnia 1915 roku w Bebrze (Bewern), w Kurlandii. Rodzice jego od 1921 r. mieszkali na Wołyniu. Do gimnazjum uczęszczał w Kowlu, Zakopanem, a od 1929 r. w Lublinie. Maturę otrzymał w 1933 r. w „Szkoła Lubelskiej”. Odbił służbę wojskową w Podchorążówce Kawalerii w Grudziądzu i w 1935 r. zapisał się na Wydział Prawa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. We wrześniu 1939 roku, w czasie bombardowania Lublina brał udział w ratowaniu rannych ze zburzonego hotelu „Victoria”. Jako ochotnik wcielony do armii „Lublin” walczył na Lubelszczyźnie. Od 1933 r. wiersze, prozę poetycką, nowele i artykuły publikował w lubelskiej „Trybunie” i w pismach akademickich: „Nurty”, „Odrodzenie” (kolumna literacka „Cięciwy”) i w „Odkocznik”.

**Ranek**

Jeśli resztki dymnego zmięszchu  
w ziewaniu bram rozdeptane  
nie zechcą same dobrowolnie  
[przechnąć,  
to je wymieć ranek  
— stróżka surowa i czysta.

Niesie się powiew i wilgoć rozgania  
Lodowa przezystość wystaw  
w lakierowanych biało mleczarniach.

Był wózek z bochnami świeżego  
[chleba.  
Turkot uciekł — tylko zapach chleba  
[został.

Asfalt ulicy: droga jasna i prosta,  
choć nie prowadzi do nieba

Spienioną bruzdę parowozowy dym  
[rozorał  
w chłodzie niebnego jeziora

Na popielatych torach  
towarów wagon  
czerwone.

Port wcześniej zaczął się z ładunkami  
[porać

Grzmi węgiel hałasu chmurą.  
W czarnej kurzawie pracuje dźwig.

Wagonik przelósł się w górę  
(w chłód wbiła czerń matowa)  
I nagle, jak pod cięciem brzytwy,  
na holowniku znikł

Z Wielkiej Wody Pan Bóg zdejmował  
białych mgieł modlitwy.

(„Odrodzenie” 1936, nr 2 — kolumna literacka „Cięciwy”).

**Sierpień**

W te noce  
sześcianów i płaszczyzn banitom,  
wyrzutkom krańców,  
horyzontów bezsilnym wygnaniem  
kwiaty ciche zakwitną,  
dojrzeją błękitnym owocem.

Niebo w siebie wdumane.  
Spokój granatowo tonie  
w międzywielzdnie luk.  
Choćbyś się świetliście  
upił  
gwiazd tumanem,  
miękkim chłodem ciszy ochłonesz.

Pogladzi najprzezroczyściej  
po nagich plecach wiatr.  
— Zrenicem bezsenna topiel. —  
Już opływa nas powoli  
lodowatych globów grad.  
I teraz nam tylko błądzić leniwie  
pośród parabol i kolisk —  
— od kuli — do kuli.  
Przecinać tory  
meteorom...

(Właściwie  
w podobny sposób  
snują się powietrzne atomy nad ranem  
wśród kropel rosy  
porozwieszanych  
na lukach przegiętych trawek).

Gwiazdy w niebie jeszcze rechocą,  
gdy kładą  
śmierć nocom  
mgły blade.

Cierpkie ziola cierpień  
żąć nam nowiu sierpem...

W gwiazdnej minął słońce  
sierpień.

(Z własnoręcznego maszynopisu autora).

**Kuropatwy**

Gdzieś blisko  
niosło ciepły tobol  
radosne popołudnie.

Jedwabistego psa wężowanie  
w kartofliksu  
nad drogą

Lętownom najmilszy taniec  
płatać nogi zielenią utrudnień .

W kartofliksu po pas,  
duszą w niebie po pas.

Puść myśli na łąkę powietrza,  
a będziesz jak żrebec je pasł.

Niebo było z serdecznym wylanem,  
a ścierniskowym wiatrom na przestrzał  
Świat.

Raptowne eksplozje stad.  
(Wzruszeń elektrycznych dotyk  
miała w sobie stójki sprężyna).  
Furkotów szary kartacz.  
Grubych bryłek krzykliwe odloty.

Wesołe podzwonne  
oddzwoni  
skowronek.

Po ciepłe płaki się zginaż  
chciwym poklonem,  
tryumfem krwawo obarczasz.

Z lekkim sercem  
cłężar trofeów skrzydlatych  
uniesiesz

Mordercę  
jesień —  
pobłażliwie matczyna  
pogladzi babim latem  
po włosach.

Szczerwieńią wzdłuż drogi  
kropliste głogi  
i jarzębina  
jak krwawa rosa.

(„Odrodzenie” 1936, nr 4 — kolumna literacka „Cięciwy”).

**AMATORZY  
WSPÓŁCZESNOŚCI**

(Dokończenie ze str. 1)

mi. — Przyjmują nas wszędzie gorąco. Oklaski są bodaj gorętsze niż wtedy, gdy przyjeżdża teatr zawodowy”.

Jakże przykro było słuchać słów, świadczących o kompletnym zrutyinizowaniu się znanego zespołu. Jego działalność winna rozbudzać głód prawdziwego teatru zarówno wśród artystów-amatorów jak i w środowisku, nie zaś polegać na dziecinnej doprawdy chęci zdystansowania teatru zawodowego. Po pierwsze nikomu to nie jest potrzebne, po drugie także zdystansowanie nie jest przecież możliwe.

Tego rodzaju wydumane, nieuzasadnione i niesprawdzalne ambicje przynoszą w moim przekonaniu szkodę amatorskiemu ruchowi teatralnemu, gdyż przede wszystkim wypaczają prawdziwy sens istnienia tej masowej formy aktywności kulturalnej ludzi pracy, po drugie zaś dają broń do ręki tym działaczom, którzy są zdania, że amatorski ruch teatralny jest szkołą złego smaku, że przynosi społeczeństwu namiastkę teatru, podobną do prawdziwego teatru w stopniu, w jakim tzw. „straszliwa lura” przypomina prawdziwą, dobrą i dobrze zaparzoną kawę.

Na szczęście większość naszych amatorskich zespołów teatralnych w mieście i na wsi rozumie właściwie

zadania ruchu, do którego należą. I dlatego coraz więcej jest w naszym kraju zespołów amatorskich, które nie myślą o oklaskach, lecz o tym, by rozbudzić teatralnie przede wszystkim samych amatorów — członków własnego zespołu, do którego np. należeć może z powodzeniem cała wieś — w następnej zaś kolejności tzw. publiczność, pokazując jej (skromnymi środkami i mierząc zamiary na siły) taki przedsiwonek teatralny. Nie bójmy się słowa „przedsiwonek”. Przezeń droga wiedzie do teatralnego wnętrza.

Powtarzam: większość naszych amatorskich zespołów teatralnych doskonale rozumie swoje zadania i — co najważniejsze — preferuje z własnej potrzeby tego typu działalność. I dlatego oczywiście nie obchodzi nas owi różni działacze, nie rozumiejący amatorskiego ruchu teatralnego i zarzucający mu niepopelnione winy. Mamy dziś w Polsce bowiem już takie zespoły amatorskie, jak teatr Pawła Basa z Ostroszowic, który był nawet bohaterem programu Telewizji Polskiej. Jest to zespół, który miejscowy nauczyciel, Paweł Bas, założył przed dziesięcioma laty i do dziś nim kieruje. Teatry zawodowe, które przyjeżdżają do tej wsi na gościnne występy, znajdują publiczność rozbudzoną teatralnie, przygotowaną. Warto przy tej okazji dodać, że w głośnym konkursie „Wieś bliżej teatru” zespół Pawła Basa znalazł się wśród laureatów.

Czyż zresztą wspomniany zespół nie ma sobie podobnych w Białostocczyźnie i Kielecczyźnie, na Ziemi Lubelskiej i Rzeszowskiej? Możemy bez przesady powiedzieć, że jeśli w Polsce Ludowej w znacznym stopniu nastąpiło upowszechnienie teatru, jeśli polskie teatry objazdowe spotykają się z coraz to bardziej ukształtowanym widzem, choć na pewno jeszcze ciągle ukształtowanym niedosta-

tecnie — to określoną i bynajmniej nie taką znowu poślednią zasługę przypisać należy ruchowi amatorskiemu.

Jak wykazuje smutne doświadczenie amatorskiego ruchu teatralnego, nasze objazdowe zawodowe teatry nie zawsze wiedzą i rozumieją, że w ruchu tym mają dobrego autentycznego sprzymierzeńca, jeśli chodzi o przybliżenie do teatru zwłaszcza mieszkańców małych miasteczek i wsi. Może częściowo z tego właśnie powodu zawodowe teatry nie zawsze chętnie służą zespołom amatorskim fachową opieką i pomocą? Oczywiście, nie mam zamiaru uogólniać. Oto np. aktorzy Państwowego Teatru im. Aleksandra Węgierki w Białymstoku mają na swym koncie dziesiątki i nawet więcej spotkań z ludnością w dalekich miejscowościach Białostocczyzny, nie wyłączając najdalszych wsi, opowiadają o teatrze i służą fachową poradą i pomocą amatorskim zespołom teatralnym. Wymienić można oczywiście również istniejące teatry znane ze swej działalności nie tylko spektaklowej. Nie zmienia to jednak faktu, że nie wszędzie tak się dzieje. Główny jednak problem polega na tym, że ludzie teatru biorą niedostateczny udział w pracy specjalnych placówek i organizacji, powołanych do życia, by opiekowały się amatorskim ruchem teatralnym i w ogóle artystycznym. Sieć tych placówek pokrywa dziś dosłownie cały kraj, wszystkie województwa. We wszystkich miastach wojewódz-

kich istnieją — przeważnie przy wojewódzkich domach kultury — specjalne komórki instrukcyjno-metodyczne dla ruchu amatorskiego. Ale efektywność ich działania budzi niekiedy zastrzeżenia. I właśnie dlatego potrzebna jest tu pomoc fachowców z zawodowych teatrów. Teatry istnieją dziś we wszystkich polskich miastach wojewódzkich, a w niektórych jest ich po kilka, jak np. w Łodzi, w Poznaniu, w Krakowie, w Katowicach, we Wrocławiu, w Gdańsku, w Szczecinie, w Lublinie, no i przede wszystkim w Warszawie. Teatry stały się u nas nawet w niektórych miastach powiatowych, jak np. Radom, Gniezno, Kalisz, Elbląg, Częstochowa, Sosnowiec, Bielsko-Biała, Toruń, Grudziądz, Gorzów Wielkopolski, Słupsk, Zabrze. Są to w większości wypadków teatry ambitne i artystycznie sprawdzone.

Gdyby teatry zechciały w większym stopniu, niż to się dzieje dotychczas współpracować z owymi specjalnymi komórkami, służąc im swoim scenicznym doświadczeniem i przede wszystkim swym artystycznym smakiem, byłoby naprawdę dobrze. Komórki takie — mówiąc przy okazji — są nie tylko w miastach wojewódzkich. Powstaje właśnie w Polsce sieć powiatowych poradni amatorskiego ruchu artystycznego. Do dziś powstało już ich 200. A zatem amatorski ruch artystyczny ma w ludowej władzy prawdziwego sprzymierzeńca i mecenasa. Trzeba tylko, by w większym jeszcze stopniu, niż to się dzieje dotychczas, ruch ten miał fachową merytoryczną codzienną pomoc i opiekę.

Bez tego przede wszystkim trudno będzie amatorskiemu teatrowi stać się w pełni nowoczesnym. A jest to doprawdy potrzebne. Przydatność, ba — poważna rola w naszych czasach, nie tylko nie zwalnia amatorskiego ruchu teatralnego od konieczności poddania się procesowi unowocześniania się, lecz — przeciwnie — nakłada nań ten obowiązek. Mam na myśli zarówno repertuar zespołów amatorskich, jak i środki wyrazu, jakimi posługują się. Mam też oczywiście na myśli metody pracy amatorskiego ruchu teatralnego. Warto, by sprawami tymi poważnie zajął się Związek Teatrów Amatorskich.

Nie znaczy to wszystko oczywiście, że ruch amatorski znalazł się zupełnie poza zasięgiem nowoczesności. Zarówno jej propozycje formalne, jak też nawet estetyczne, torują już sobie drogę ku temu masowemu zjawisku, jakim jest działalność amatorska. Rzecz jednak w tym, że torują opornie. Prawdziwie awangardowy okazał się, jak dotychczas, właściwie jedynie teatr studencki, którego nowatorstwo prezentuje się nam zarówno w niezwykłym repertuarowo czulej reakcji na wydarzenia współczesności, jak i na zastosowaniu nowoczesnej formy spektaklu. Spotykamy się tu zwłaszcza ze skrótem, z oszczędnością środków wyrazu.

Nie ulega oczywiście wątpliwości, że nowoczesny kształt amatorskiego ruchu artystycznego ma przede wszystkim znaczenie jako nowoczesne kształtowanie się ogromnej rzeszy artystów-amatorów. Jest więc formą nowoczesnej edukacji społecznej. Ale właśnie dlatego ruchowi temu potrzebna jest fachowa porada i merytoryczna opieka. Bez tego nie skorzysta on w pełni z możliwości, jakie otworzyła przed nim współczesność.

I bez tego nie będzie w pełni służył współczesności.

Wydaje mi się, że aktualna problematyka amatorskiego ruchu artystycznego a zwłaszcza amatorskiego teatru wymaga publiczystycznej dyskusji. Bylbym rad, gdyby niniejszy mój artykuł zdołał dyskusję taką wywołać na łamach „Kamery”.

Bolesław Bartoszewicz

# POD ZNAKIEM „Syzyfowych prac” i „Wiernej rzeki”

(Dokończenie ze str. 3)

nym generałem. Było przy tym mnóstwo młodzieży szkolnej, bo rzecz działa się podczas dużej paury. Brusilow srogo rozkazał: „Biegnom marsz” ulicą, do kasy Przemysłowców (200 metrów) — i z powrotem. Krylenko rozkaz wykonał przy akompaniamencie śmiechu gawiedzi i młodzieży, a gdy generał oddalił się, pogroził za nim wznieśloną wysoko pięścią z okrzykiem: „Nie zabuduj!” W roku 1917 praporszczyk (chorąży) Krylenko został pierwszym wodzem naczelnym Czerwonej Armii w Rosji po śmierci z rąk marynarzy ostatniego „Gławkwiercha”, Duchonina.

Ze znaczenia podniesionej pięści Krylenki jeszcześmy sobie wtedy nie zdawali sprawy, przekonał się jednak naocznie, że istnieją dwie Rosje, nawet w carskiej armii. Dodawało nam to otuchy i pobudzało do śmielszych prób rozszerzania konspiracji. Jedną z takich dość lekkomyślnych prób, która na szczęście skończyła się dobrze, było założenie grupy Petowej w Kielcach, dokonane z ściągnięciem młodzieży niefrasobliwocią. Ocytani w pamiętnikach emisariuszy, Szymona Konarskiego, Szymona Tokarzewskiego, Mariana Dubieckiego, wysłaliśmy delegata Petu lubelskiego do Kielc, w celu zrealizowania tego zamiaru. Siemnastoletni „emisariusz” nie znając nikogo w mieście, stanął sobie w czasie dużej paury przed polskim gimnazjum, lustrując wychodzących chłopców. Zatrzymał jednego z nich, bo wydał mu się poważniejszym i — o dziwo, trafił na grunt przygotowany tradycją kieleckich konspiracji z czasów Zeromskiego i „Syzyfowych prac”. Dobrali zaraz kilku innych, wszyscy zostali wtajemniczeni w ideologię Petu, złożyli uroczyste przyrzeczenie i później już stale współpracowali z całością organizacji. Oczywiście, był to wypadek szczególny, bo normalnie werbunek do Petu odbywał się drogą długotrwałych obserwacji i rozmów z wytypowanym kandydatem. Nazwiskiem i bohaterami utworów Zeromskiego można było wówczas trafić, jak znakiem masonskim, na współideowców niepodległościowych — i nie omylić się w ich szczerości. Przyciągała tajemniczość organizacji, a dyscyplina i posłuch wobec nieznanego osobiście przywódców wyższych stopni miały swoje głębokie uzasadnienie w przywiązaniu do historycznej roli tajnej Pieczęci Rządu Narodowego z czasów powstania styczniowego. Opisane zdarzenie mało miejsce już po ukazaniu się „Wiernej rzeki”, w której komisarz rządu narodowego, Hubert Olbromski, zdażył zatopić w rzecze Łosośnie tajne dokumenty Rządu przed bohaterską śmiercią z rąk rozwścieczonego wroga.

Zresztą struktura Petu i Zetu świadomie nawiązywała do Wolnomularstwa Narodowego czasów Waleriana Łukasińskiego, a dalej — do struktury organizacji Promienistych, Filomatów i Filaretów. Zналиśmy dokładnie dzieje tych ruchów i gorliwie naśladowali. Do niezapomnianych zdarzeń należał zjazd ogólnokrólewiacki delegatów grup w Wilanowie w roku 1912. W jakiejś dużej szopie, w półmroku, około setki chłopców i dziewcząt słuchało z zapartym tchem sprawozdań z działalności wszystkich ośrodków, referatów i instrukcji Dyrekcji (Zetu), informacji politycznych o organizacjach wojskowych w Galicji, o sytuacji międzynarodowej, o programach akcji na wsi i w mieście. Twarze skupione, myśl napięta, serca bijące; karności, porządek, czujki rozstawione w całej okolicy.

Było to już po wchłonięciu przez nas „Urodzie życia” Zeromskiego, po przeżyciu rewolucyjnych powieści Andrzeja Struga — i zawsze z pamięcią o Mickiewiczu, o Traugucie, o Pieczęci Rządu Narodowego...

Zeromski pobudzał nas do rozszerzania zainteresowań intelektualnych, do wiedzy o Polsce dawnej i współczesnej. Podobną rolę spełniały dramaty Wyspiańskiego: „Warszawianka”, „Noc listopadowa” i „Wesele”, zdobyte tajemnie spod lady przyjaznego nam księgarza. Wyspiańskim, szczególnie jego „Wyzwoleniem” oduczyliśmy się w sposób nastrojowo-patetyczny, nastawiali dusze, jak się wtedy mówiło, na wysoki kamerton. Nie miał na nas

wplywu Przybyszewski, nawet Tetmajer nie urzekł egzotyczną liryką, raczej Kasprzowicz wczesną twórczością społeczną i „Hymnami”. Literatura pozytywistyczna nas nie interesowała, tylko niektóre utwory Konopnickiej i Asnyka; z prozy — powieść historyczna Sienkiewicza, z Orzeszkowej zaledwie „Gloria victis”. Obok Prusa przechodziliśmy obojętnie, a nawet niechętnie, ponieważ zajmował negatywne stanowisko wobec strajku szkolnego i rewolucji 1905 roku. Niewątpliwie pod wpływem Zeromskiego sięgaliśmy do idealów romantycznej poezji wieszczów, a także do „Maratonu” i „Chorału” Ujejskiego, recytowanych z zapalem na tajnych wieczorach organizacyjnych. Ale przede wszystkim wczytywaliśmy się w pamiętniki powstańców i rewolucjonistów. Studiowaliśmy Jeża „Rzecz o obronie czynnej i skarbie narodowym”, Mochackiego dzieło o powstaniu listopadowym, Limanowskiego „Stuletnią walkę o niepodległość”, Stanisława Brzozowskiego „Plomienie” i... „Legendę Młodej Polski”. Dzieła Szymona Askenazego, Bartoszewicza, książki o Grotterze, a tuż obok „Sprawę polską” Studnickiego i „Egoizm narodowy wobec etyki” Bałickiego.

Przy jednoczesnym wczytywaniu się w książki i broszury socjalistyczne — wszystko to razem wytworzało zażarte kontrowersje, niekończące się dyskusje i spory. Poszukiwaliśmy wzorów do działania; wzory te szły właśnie od Zeromskiego: doktor Piotr, Siłaczka, Judym, Rozłucki, Radek, szklane domy, te — z marzeń Rozłuckiego w „Urodzie życia”. Dołączał się do tego bohaterski kowal, pan Balcer Konopnickiej i twardy opór Osta w „Róży”.

Wiele zamętu w głowach wprowadził Fryderyk Nietzsche swymi teoriami mocnego człowieka. Od niego i od Dostojewskiego, bardzo propagowanych przez nauczycieli Rosjan, uciekaliśmy jak od zarazy, ale... czytaliśmy ich zachłannie. Nie chcieliśmy jednak szukać tam wzorów ideowych. Nam imponował ks. Ściegienny, którego grób bezimienny w Lublinie otaczaliśmy kwiatami, pieśnią „Boże, coś Polskę” lub „Czerwonym sztandarem”. Dzieła historyczne o Kościuszcze zaprowadziły nas poprzez „Mogilę” Zeromskiego na Maciejewickie pole w powiecie garwolińskim, pod krzyż na

kopcach w bagnach olchowych. „Dzień jednego pocisku” i „Ojcowie nasi” Struga szły w sukurs ideom Zeromskiego. Ale dezorientował Tadeusz Miciński L. Oskar Wilde oraz Maeterlinck. Za to trafił w pewnym sensie Ibsen i Hauptmann. Renan i Andrzej Niemojewski burzyli zastane tradycje granice nauki i religii, a tu wolały o pomstę do nieba sprawy unitów i związane z nimi problemy narodowe. I literatura rosyjska, ta urzędowo przerabiana w szkole przez kokietyjących rewolucyjnie nauczycieli Rosjan, a przecież uderzał oburzeniem wiersz Puszkina „Oszczercom Rosji” (klewienikom Rossii), głoszący: „Puskaj soljusia wsie sławianskije ruczji w russkom morie” — i to wtedy, gdy znaliśmy na pamięć i mieli w sercu „Drogę do Rosji” i „Do przyjaciół Moskali” Mickiewicza. Zadawniona niechęć do narzucanej siłą kultury rosyjskiej odzywała się na zebraniach nieufnością wywodzącą się z „Syzyfowych prac” i z „Ech leśnych”. „Rota” Konopnickiej twardo ostrzegła przed nawalą germańską. Wyspiański kazał wyciąć słuch od strony krakowskiego gościńca, a Konrad z „Wyzwolenia” wołał: „Wieżę rwij!” Zeromski narzucał pierwszą wizję polskiego Pomorza w „Urodzie życia”, wizję utopijną i bolesną. Glinie za nią Piotr Rozłucki — pierwszy w literaturze naszej lotnik polski.

Już było po wojnie bałkańskiej, zabórzy wyszczerzyli przeciw sobie zęby, pierwszy raz od czasów Kongresu Wiedeńskiego.

### 3. Półwiekowa rocznica powstania styczniowego 22.I.1913

Pięćdziesiąta rocznica powstania styczniowego odbyła się z rzekazu wszystkich trzech organizacji konspiracyjnych, w podniosłym nastroju i gotowości patriotycznej. Rozlepialiśmy nocą na murach miasta rocznicową odezwę trój-organizacyjną młodzieży, masowo rozpowszechnialiśmy ją wśród wszystkich szkół. Odezwa głosiła, że po klęsce powstania „cisza cmentarna przez długi czas zalegała Polskę. Ale spadające na nią ciosy i klęski budziły naród z odrętwienia i zmuszały go do organizowania sił czynnych. Znow więc rozległo się hasło walki z najazdem i dziś rozbrzmiewa ono, jak Polska długa i szeroka... Chęć

odwetu za doznane krzywdy przeniknęła najszerzej warstwy ludu polskiego, a żądza wolności i niezależności politycznej stała się jego ewangelią życia. Lud polski wierzy w swe zwycięstwo!... Dziś już nie liczymy na poszczególne warstwy narodu... lecz na cały lud polski w całej jego masie. Szanse te w porównaniu z rokiem 63 bezsprzecznie przechylają się na korzyść naszą... Pełni otuchy o lepsze i promienniejsze Jutro dla naszego skołatanego klęskami kraju, mimo wywłaszczeń i wyodrębnień, stosowanych przez wroga nam rządy zaborcze, pruski i rosyjski, głosimy dziś wieść nie smutku i żaloby, ale wieść nadziei w zwycięstwo naszej sprawy. Stwierdzamy, że młodzież polska mocno i niezachwianie stoi przy sztandarze Wolnej i Niepodległej Polski wszystkich trzech zaborów. A być może, że wkrótce przyjdzie chwila walki z najazdem o wolność. Być może, że w niedalekiej przyszłości wystąpią do zapasów bojowych nasi najzacieklejsi wrogowie — carat i Niemcy. Należy przeto z naszej strony być przygotowanym do mających nastąpić wypadków, aby w odpowiedniej chwili uderzyć na wroga i wyprzeć go z ziemi polskiej. Pamiętajmy, że przyszłość w naszych wyłącznie rękach. Skupiajmy się więc i organizujmy! Bo tylko zorganizowani i ożywieni jedną wspólną myślą i dążeniem możemy wywalczyć Wolną Polskę Ludową”.

Odezwę podpisał organizację: Młodzież Niepodległościowa („Zarzewiaczy”), Młodzież Narodowa (Pet), Młodzież Postępowo-Niepodległościowa (Socjalistyczna). Warszawa 22 stycznia 1913 roku.

„Synowie” Zeromskiego, romantyczny rocznik maturzystów polskich szkół Kongresówki, w czerwcu 1913 roku poszli w świat — na wyższe studia, przeważnie do Krakowa i Lwowa, by w sierpniu 1914 roku spełnić swój obowiązek podczas wojny w służbie idei, którą nasiąkli w robotcie konspiracyjnej.

Wszystkie organizacje podpisane pod odezwą styczniową realizowały swoją wolę w ogniu próby, nie jako świadkowie dziejów, ale jako organizatorzy czynów politycznych i zbrojnych. Patriotyczna postawa bohaterów Zeromskiego była im drogowskazem.

Feliks Araszkiewicz

**D**UZO uczuć niepewności i wewnętrznej rozterki dostarcza problem zakupu prezentów dla najbliższych na święta, imieniny i przy różnych innych okazjach. W tej sprawie pragniemy właśnie przyjść z pomocą naszym czytelnikom. Nie, nie... O pralkach, radioaparatach i „wersalkach” nie mamy najłżejszego pojęcia, i nie będziemy doradzać, bo moglibyśmy się później narazić na, prawdopodobnie uzasadnione, pretensje i wyrzuty. Spróbujemy natomiast doradzić trochę w zakresie książek, które już, albo wkrótce będą do nabycia w księgarniach i mogą być miłym rozwiązaniem kłopotów związanych z wyborem prezentu wśród niemałej przecież ilości nowych wydań w dziedzinie literatury pięknej. Tym bardziej wydaje nam się słuszną taka inicjatywa (dobrze się też czasami samemu pochwalić), że czasopisma i prasa codzienna w sposób, by tak rzec, wyrzykowy traktuje zadania recenzyjne, i nie zawsze pozwala na zorientowanie się, co warto kupić w księgarni. Recenzje ponadto ukazują się często spóźnione, a więc wtedy, kiedy omawiana pozycja jest już wyprzedana, albo pomija się wiele książek, które są ciekawe i warte czytania, a nie znajdując one żadnego poparcia recenzentów i krytyków. Wobec tego na użytek Czytelników „Kamery” dokonaliśmy małej penetracji w kilku dużych wydawnictwach stuletnich szukając tytułów mogących zainteresować rzeszę potencjalnych nabywców. Zastrzegamy się, że wyboru dokonujemy na własną odpowiedzialność i własne ryzyko. Ha, trudno. Gotowi jesteśmy przyjąć nawet reklamacje — nawet po odejściu od kasy. Jedno jest w tym bezsporne, podamy tylko te tytuły, które są wynikiem ostatniej produkcji wydawniczej i z wszelkim prawdopodobieństwem znajdują się, albo wkrótce znajdą się w sprzedaży.

Zacznijmy więc od książek Państwowego Instytutu Wydawniczego (PIW). Możemy państwu od razu zdradzić miłą tajemnicę, że jeszcze teraz jest do nabycia piękne, chciałoby się powiedzieć, monumentalne dzieło Zenobiusza Strzeleckiego pt. Polska Plastyka Teatralna. Praca ujmuje problem polskiej scenografii w powiązaniu z procesami rozwojowymi teatru i plastyki na zachodzie i na wschodzie

Europy. 600 stron tekstu (oprawa płócienna, obwoluta) i tomu (z indeksem osób i sztuk) uzupełniają dwa dalsze tomy z ponad 1000 częściowo barwnych ilustracji.

### POGLĄDY I PRZEGLĄDY

## Firma poleca

JERZY GEMBICKI

Również na prezent bardzo się nadaje estetycznie wydany cykl powieści Louis Aragona („Dzwony Bazyli”, „Piękne dzielnice”, „Pasażerowie z dyliżansu”, „Aureliana”). Wszystkie cztery tomy cyklu powieściowego Aragona były już wydane przez PIW oddzielnie. Obecnie cykl ukazuje się jako czterotomowa całość w jednolitej szacie graficznej.

Akcja cyklu „Świata rzeczywistego” rozpoczyna się w latach dziewiętnastych i obejmuje okres do wybuchu drugiej wojny światowej. Autor porusza problemy społeczne i polityczne, dając bardzo wyrazisty obraz środowisk burżuazji i wielkiej finansjery, mieszczaństwa oraz klasy robotniczej we Francji. Przez wszystkie cztery tomy przewija się szereg niezwykle interesująco nakreślonych postaci reprezentujących różne warstwy społeczne.

W pięknej i poczytnej serii „ceramowskiej” nowy bestseller Artura L. Bashama „Indie”. Daje ona obraz życia politycznego i społecznego oraz kultury, religii i filozofii Indii przedmuzułmańskich. Książka napisana jasnym i precyzyjnym językiem, w sposób żywy i dostępny nawet dla czytelnika nie zorientowanego w problematyce Indii. Specyficznie indyjskie, trudne do zrozumienia dla Europejczyka problemy podziałów klasowych i kastowych i subtelne zagadnienia najważniejszych religii indyjskich: buddyzmu, hinduizmu, dżinizmu, stają się jasne w wykładzie autora. Książka Bashama może też służyć jako kompendium wiedzy o dawnych Indiach; zawiera bogaty mate-

riał ilustracyjny i opatrzone jest indeksem nazw i indeksem problemowym.

Bardzo także polecamy w wydaniu PIW „Historię literatury polskiej” J. Krzyżanowskiego. Nowe rozszerzone i sprawdzone wydanie „Historii literatury polskiej” znanego uczonego ukazuje się wzbogacone o rozdział o literaturze pierwszej ćwierci wieku XIX oraz zawiera uzupełnioną ponownie opracowaną bibliografię uwzględniającą nowsze pozycje naukowe. Bogaty materiał ilustracyjny zwiększa wartość poznawczo-naukowe uniwersyteckiego podręcznika literatury polskiej.

Przejdźmy teraz do książek Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”. W sprzedaży są, lub ukażą się w najbliższym czasie, takie pozycje, jak: J. Z. Jakubowski „Wiersze o książkach”, M. Dąbrowska „Gwiazda zaranna” (w pięknej serii z Głowa Wawelską), K. Irzykowski — pośmiertne wydanie dzienników tego wybitnego krytyka okresu międzywojennego. Atrakcyjna seria „Nike” wzbogaca się o następujące książki: A. Tolstoj „Błękitne miasta”, K. Koźniowski „Tydzień do siódmej potęgi” (dla starszej młodzieży), J. Putrament „Odyniec” (nowa powieść), O. Budrewicz, trzeci „Baedeker Warszawski” (Praga). Oprócz tych nowości wydawniczych „Czytelnika” jeszcze teraz można dostać w księgarniach książki wydane przed niedawnym czasem, które mogą spełnić miłą rolę prezentu. Wśród nich widzimy wspomniany wybitny osobistości Krakowa zawarty w tomie „Cyganeria i polityka”, a także antologię noweli jugosłowiańskiej, drugie wydanie „Barbarzyńcy w ogrodzie” Herberta, E. Gołbińskiego „Kapitan Cook”, czy bogaty wybór utworów satyrycznych — „Satyra prawdę mówi”.

Żeby nas nie pomówiono o brak troski, jeśli idzie o najmłodszych czytelników, zacerpniliśmy kilka pozycji z bogatej puli książkowej „Naszej Księgarni”.

Na czolo oczywiście wysuwa się seria „Biblioteki Klub 7 Przygód”, służąca rozbudzeniu i zainteresowaniu książką wśród młodzieży poszukującej lektury ciekawej, atrakcyjnej, przygodowej. Oto plan roku 1964: E. Panaszczak „Między niebem a ziemią”, E.

(Dokończenie na str. 14)

## niedokończone epitafium

głowę mam chmurną  
i ręce drżą  
jakby schron stalowy zawisł nade mną  
sa dni gdy nienawidzę poezji  
gdy boli każde jej słowo

maj i bzy pęcznieją  
na ścianie fotografia dziecka zrudziała od słońca  
dziecka nie ma

czytaj Deutsche Soldaten Zeitung  
w przepaści wybuchów  
pamiętasz  
włosy ciemne  
włosy blond  
pięćdziesiąt fenigów za kilogram  
włosianka jak puch na pierś scharführera

a w Auschwitz  
za szkłem dwie tony za darmo

krzyż żelazny na piersi zawiąnię jak ulal  
stał pierwsza klasa  
najszlachetniejsza  
bo okulary miały nie więcej niż pięć centymetrów  
i najfajniejsze oczy dziecka

lecz zamiast szkielek  
błękit cyjano-wodoru

maj i bzy pęcznieją  
bzem majowym odmierzam lata  
wehlaniam radość wszystkiego kwitnienia

a-są dni  
gdy patrzę na Solę ziemię i niebo  
na wielki falsyfikat

HENRYK KOWALSKI

\* \* \*

Łan zboża wśród lasów o świcie  
Znajduję złocisty ogromny  
Przez krąg przeźroczysty przejrzysty  
Huk ze mną niosę półworny  
Kropłom rosy  
Iskrzącym w porannym słońcu  
Gasną nagle brutalnie zepchnięte  
Połącznym podmuchem powietrza  
Za mną drżą które zostały  
Ręce niemowląt

Posłuszny mojej woli  
Horyzont opada niżej  
Rozszerzam spojrzenie  
Odchodzę w dźwięk milknący.

BARBARA TONDOS

## mały pejzaż

gdzie zieleni  
i las paruje  
[w osłonięciu gorący dzień  
wierzby  
praca rosochata

wiatr

liście  
pobarwione  
na pola  
ogolone  
dla śniegu

## Drobiażdżki

Ludzińkowie w drewnie tłoczeni  
dłubani strugani  
poustawiani  
na drózkach płaskim żółtym  
[wysypanych  
trwają  
a czasem czerwone usteczka  
ulożę w kształt słowa  
i prawie że żyją gdy  
podnoszą  
sztywne ramionka

TADEUSZ KUBAS

W granicach  
progów

Przed każdym progiem  
na chwilę przystań  
dla zmiany maski  
pod program bycia

Maski kaźdźcia  
miłe są bogom

maski wielkości  
dla zwykłych ludzi

maski miłości  
rekwizyt szczęścia

żyć w łonie ziemi, w łonie tak ciepłym,  
przesyconym szmerami i aureolą zie-  
mi, naszej mikrobijnej ziemi.

Tłumaczyła z francuskiego  
Anna Tatarkiewicz



## ROZMOWY

(Dokończenie ze str. 7)

nie można grać w jazzle, jak John  
Beaujolais z Montrealu, w Kanadzie.  
Albo nabuchać się, wleźć znowu w  
mundur i zwiąć w dжебел\*), z wiel-  
kim karabinem w rękę; puste prze-  
strzenie, wieże, od szóstej rano zarosła  
z ciężką mgłą, która czepia się płasko-  
ści gruntu i nawpół zasłania, w sam  
raz na potrzeby rzezi — ciągi kaczek.  
Ale czy można wyszedzisz z wojska  
wejść na wzgórze, zamieszkać samemu  
w opustoszałym domu, ustawiać dwa  
leżaki jeńcem naprzeciw drugiego i ca-  
łymi dniami walczyć się w słońcu — nago  
albo pół-nago?

Sądzić, że się nie musi zarabiać na  
życie, ale że musi się bronić przed  
wszystkimi (a jest ich kupa), którzy  
chcieliby nas ukatrupić.

Adam usiłował przypomnieć sobie  
coś, co związałoby go z poprzednimi  
dziesięć latami; jakieś zdanie, nawyk  
wojskowy, nazwę miejscowości, która  
na pewno pouczałaby go, czym się zaj-  
mował i nareszcie, nareszcie skąd wy-  
szedł.

Adam skulił się na swoim taburecie;  
spętany przez dziwną starość, po cichu  
wracal na swoje miejsce w słońcu, w  
opustoszałym willi, wysoko na wzgórze.  
zobojętniały na pola, mlasto, morze,  
zobojętniały na samoloty, to głośno, to  
znów cicho przelatujące nad widnokre-  
giem, zobojętniały na dalekie podróże,  
a także na piękne, realistyczne książ-  
ki, jakie ludzie piszą czasem po od-  
służeniu wojska, utrwalając sumiennie,  
jak letnie dni, któreś czerwieca ka-  
zano im czytać chlorkiem latryny i to  
natchmiast po rozkazie naobierania  
dwudziestu kilo ziemniaków; i zobojętn-  
niały na wszystkich, którzy nie umieją  
umrzeć z miłości dla pajaka-krzyżaka,  
dla omdłości natury, omdłości nie po-  
trafia płakać nad rozdzielającą rozpa-  
czą kropki wody, spadającej z syfona  
umywalni. Na tych, którzy nie chcą

\* Dжебел — arabskie słowo, oznaczające  
góry.

## Ojczyście drogi

Brzegami, widnokregrami biegły ojezyste drogi,  
źródłami tryskała pamięć, nadzieją rosły głogi.

Oddechy dzwoniły w iredniach, wiatr krew ocierał o usta,  
włosy siniaty od bólu, chleb ziemia deptała tłusta.

Serce wracało piosenką, miłość się zwiokła do piwnie,  
namiętność odjęła martwota — uczucie poczęło dziwnieć.

Nie roznieconych pożarów czas potęgował lunę,  
nie stygła walka odległa, żar w nieśmiertelna bil strunę.

Kamienie dudniły pieszczota, tęskniły rodzinne progi,  
brzegami, widnokregrami biegły ojczyście drogi.

WIESŁAW KULIKOWSKI

## Prawie siostra

Prawie cierpka już w kwitnących  
tarninach  
iś by chciała aż do samych gwiazd.  
— Obejmuje nocami strach,  
poparzona wiatrem — i cierpliwa.

Przez mój wiersz czasami przechodzi,  
niosąc w dłoniach złote, lecz puste  
ziarna  
Prawie siostra drzących, niepewnych  
lodyg  
moja muzyka przez życie oszukana.

Rankiem słońce odsłania i głaszcze,  
leczy trawom — ciągle milcząc —  
rany  
Pije rosę ze spragnionych tarnin —  
— i podobno w ukryciu płacze.

JAN KAMIŃSKI

## W Bieszczadach

Las szeszał gałęziami grzbiet wiatru  
i jak kamień sępił ciszę.  
Promień wścibskiego słońca  
zalańczył nieśmiało  
po głowach rozkrzyczanej gawiedzi  
wikliny,  
aby w końcu zagubić się  
w gałęziach wysokich.  
Tylko San wytrwale kradnie  
zieleni  
wyplutych kamieni białością  
i mruka roziskrzaniem nieba  
do turystów,  
którzy kolorową gąsienicą  
po zieleni góry pełzną  
do samotnego drogowskazu  
stojącego  
jak czapla na horyzoncie.

LUDMILA  
PIETRUSZKOWA

## Wiosenny spacer

Ubrały swoje kształty  
w skrawek nieba  
i łak płaty  
okradły słońce z blasku  
kwiaty z kraszy  
wiatrom ciała sprzedały  
za żywszy błysk twoich oczu  
i idą  
same jak kwiaty

drzewa pąkami biją w niebo

obnosisz swoją samotność  
na sprzedaż na raty  
za pół darmo za bezcen  
kupcie moją samotność  
oddam darmo  
dodam jeszcze  
ciężarną wonią okłisę bzu  
z pięciolistnym kwiatem  
na szczęście

## Ziemio

Światłem przeniknął  
twoją głębię  
i sercem przypaść  
do ciebie blisko  
ziemio zmec ona  
żarem gorejąca  
chleba spragniona  
ziemio zarna  
mil-zęca  
w krwi skąpiana  
z emio  
z martwych powstająca  
wiatrem człowna  
ziemio rzeszowska  
umilowna  
ziemio którą jestem

JÓZEF JANOWSKI

Cmentarz żołnierzy  
w Dukli

Smierć  
Jest  
o zakręt dłoni  
rytualnie zawisła  
na śledej drgań  
na ulotność wrażeń  
rozpięta  
w kamień  
Zsypuje się  
światłość  
pontyfikalnej bramy  
w splełanie miast  
Wielkiego Powoźia  
Tien-szanu  
I Moraw  
Z ziem kwadratów  
ukośne  
podwyższenie gwiazd  
wytręca  
stał  
hackenkreuzów  
Cierwienieje bruk  
pięcioramienne  
w noc wyznań  
w sierpniowy monolog  
świerczy  
wielokrotny z bliska  
A w wąwozach  
jest krew  
Rozdrapać ją można  
pazurami  
albo znieść  
w żleb  
zakrzywienia  
gdzie zbiegło się  
wzwolenie  
gór

W rotundzie  
zamojskiej

Ostrość rdzy  
wytrzęła  
mirdzy zawieszenia złocen  
między bruk  
w dramat tajemnie

Na wysokość  
szara smuga pajeczyn  
pustkę kwadratów rachuje

Skrzypi ziele biblijnego zła

W południe  
grubość zielenieje  
ostatnia  
zaplątana w ciera

Z lodyg i szkielek  
wyprłony  
środek milczenia  
granica rzeczywistości

TADEUSZ KUBAS

## Gotyk

Na wysokość  
stu wolów  
posprężanych pionowo  
wstizella wieża  
gotyku

Kordygnacja ostatnia  
oprawiona  
w rój piórek  
strzępi ślepią o brzecz  
heryzontu

Draży  
wieża gotyku  
z wolnej woli  
człowieka  
stręfy wielkich królestw  
mitycznych

# Operetka i jej twórcy

KRZYSZTOF GŁOGOWSKI

KTOŻ może lepiej opowiedzieć o powstaniu Operetki, jak nie jej pierwszy dyrektor i twórca Antoni Niemczynowski. Fakty te pochodzą z czasów niedawnych i jednocześnie z zamierzonych, z czasów wojny, ze słów p. Niemczynowskiego wynika na pierwszy rzut oka paradoksalna, choć nienowa, prawda, że pierwszą instytucją kulturotwórczą powstającą w Polsce było Wojsko Polskie.

29 lipca 1944 r. Antoni Niemczynowski jeszcze w mundurze oficerskim rozpoczął pracę w Lublinie w Centralnym Domu Żołnierza, pełnił tam różne funkcje, od księgowego do kierownika artystycznego. Dzięki pomocy plk Michała Jękiela z Głównego Zarządu Politycznego WP i plk Ignacego Bluma udało się stworzyć czterystuosobową „jednostkę”, będącą pod opieką gen. Aleksandra Zawadzkiego. W owej grupie znaleźli się literaci, jak Ważyk, Lec, plastycy, np. Zaruba, Wasilewski, Torończyk, Kondracki. Utworzono Teatr Komedia, Teatr Lalki i Aktora, którym się zajmował Julian Papé — teraz w Paryżu, orkiestrę symfoniczną, grupę cyrkową, WKS Lubliniankę; tu była Czołówka Filmowa WP, prowadzona przez Aleksandra Forda.

W grudniu tego roku, wspomina mój rozmówca, wystawiono „Królowe Przedmieścia” w realizacji Jana Rogożewskiego, Konstantego Gordona, Bronisława Brooka i Bolesława Cieślaka (dziś pułkownika).

Jak wiadomo, w Lublinie wówczas zgromadzili się ludzie, którzy potem rozeszli się na cały kraj. A. Niemczynowski wspomina Bohdana Paprockiego, wtedy starszego sierżanta, Wacława Łukasika, Wiesława Michnikowskiego i innych ludzi ze środowiska teatralnego. To były „wojskowe” początki Operetki lubelskiej. Zaraz potem rozpoczyna się proces demobilizacyjny.

Już w marcu 1945 r. pojawia się „jednostka cywilna” na usługach wojska. A. Niemczynowski mówi o wystawieniu komedii muzycznej „Srebrny lis”, montażu „Miłość wśród wieków” i licznych rewii, które cieszyły się dużym powodzeniem. Kiedy rola Lublina jako pierwszej stolicy Polski przeszła do historii, na miejscu Centralnego powstał Okręgowy Dom Żołnierza, w nim zaczął dawać swoje występy prywatny Teatr Muzyczny pod kierownictwem A. Niemczynowskiego, który twierdzi, że była to pierwsza tego typu placówka w odrodzonej Polsce (początek działalności 1 połowa 1945 r.), dopiero potem ruszyła Łódź ze swoją operetką. W tym okresie „teatru prywatnego” zespół rozrasta się z 96 do 186 osób.

Repertuaru to operetki klasyczne, również klasycznie wystawiane; — zapotrzebowanie na „izy” było ogromne, wspomina mój rozmówca.

Kierownikiem literackim był wtedy dr Eugeniusz Gołębiowski, muzycznym Adam Cichoń, a reżyserem Kazimierz Wejroch Dembowski. Pierwszą państwową dotacją Operetka otrzymała podczas fuzji z teatrem dramatycznym, był to r. 1949. Ze znanych aktorów p. Niemczynowski wymienia Stanisława Miłskiego, Jerzego Gólferta, Wandę Pawlikowską, Romualda Gierasieńskiego, Beatę Artemską, która debiutowała w „Pięknej Helenie”. Wystawiano również wodewile, rozmaite adaptacje, np. „Chaty za wsią” i „Zieńców” dla młodzieży. Ostatnią premierą tego okresu, który się skończył w 1952 r., byli „Krawiacy i Górale” w adaptacji Władysława Krzeminskiego. Potem jeszcze przez pół roku trupa aktorska jeździła po terenie z „Rozkoszną dziewczyną”.

Dopiero w 1955 r. rozpoczął się nowy okres w życiu Operetki. Tego roku władze poleciły A. Niemczynowskiemu zorganizowanie teatru muzycznego. Powołanie do życia takiej placówki nigdy nie jest sprawą łatwą; rozpoczęły się pielgrzymki do Warszawy, sprawa dotarła do dwóch ministrów i jednego wyższego urzędnika, zanim państwo dało swoje placet. Ten laicki zwrot zamienił się w polskie „placé”, Wojsko wynajęło salę, dano dotację. Przekazano plac w zbiegu ulic Grotgiera i Nowotki pod budowę teatru muzycznego, lokalizację przejął potem Teatr Osterwy.

Od stycznia 1956 roku — mówi p. Niemczynowski — zespół pracuje trzy miesiące bezpłatnie nad wystawieniem premiery „Swobodny wiatr” Dunajewskiego — dowód olbrzymiej ofiarności. Jest to okres przejściowy. Teatr nie jest jeszcze instytucją państwową.

Trwa praca organizacyjna. Zaprowadza się księgowość państwowych przedsiębiorstw artystycznych, tworzy się zaplecze. Wreszcie teatr zostaje zgłoszony do kontroli przed upaństwowieniem. 1 lipca 1957 r. ucwalała rozządym WRN powołuje do życia Państwową Operetkę w Lublinie.

Przez pewien czas teatr się nie zmienia. Nadal dominuje klasyka: Kalman, Lehar, Offenbach, czasem komedia muzyczna, wodewil.

Następują cztery wyjazdy zagraniczne. Raz na Węgry do Debreczyna i trzy razy do ZSRR w ramach kulturalnej wymiany przygranicznej. Zespół przechodzi istotne przemiany, spora część dobrych aktorów przenosi się do innych miast, składa się na to brak mieszkań w Lublinie i niskie zarobki. Zespół się odmładza i powiększa do 170 osób. Dotacje państwowe pozwalają na bogatszą wystawę.

Po przyjeździe z Debreczyna dyr. Niemczynowski przechodzi do Estrady. Przez rok i kilka miesięcy na czele Operetki stoi dyr. Fregowski.

Dowiedzieliśmy się z innych źródeł, że w tym okresie teatr załamuje się finansowo, ma zablokowane konto bankowe.

Potem dyr. Niemczynowski z powrotem wraca do Operetki, skąd odchodzi w marcu br. Za jego kadencji Operetka wystawiła 59 pozycji repertuarowych, przewinęło się 2164 osoby zespołu artystycznego i 3264 tys. widzów. Zasięgiem swoim objęła przez czterech zaprzyjaźnionych województw także woj. warszawskie, gdańskie, olsztyńskie, nawet Zieloną Górę. Wkład pracy Antoniego Niemczynowskiego w organizację i usprawnienie działalności Operetki jest bardzo duży. Władze oceniły to należycie nieraz przyznając mu nagrody. Działalność w bardzo trudnych warunkach. Oto ciekawe dane porównawcze. Operetka nasza ma najmniejszą w Polsce salę — do 460 miejsc, podczas gdy w innych miastach sale operetkowe liczą sobie 800—900 miejsc. Taka sama dysproporcja zachodzi w dotacjach u nas 2,5 mln zł, w innych operetkach 3,5—4 mln zł rocznie. Dlatego na wystawienie premiery u nas wydaje się 90—140 tys. zł, a gdzie indziej 360—700 tys. zł. W Lublinie pokazuje się 4—5 premier rocznie, w innych miastach 2—3. Przeciętne wpływy dzienne wynoszą około 10 tys. zł, zaś koszt dziennego utrzymania teatru kształtuje się w granicach 20 tys. zł. Trzeba jeszcze dodać, że w Lublinie są najtańsze bilety. Na rozbieżności między tymi liczbami wpływa bez wątpienia specyfika regionu. Lublin jest najmniejszym miastem „operetkowym”, a lubelszczyzna nie należy do najgęściej zaludnionych i najbardziej zurbanizowanych regionów kraju.

To, że mimo niełatwych warunków Operetka podwyższa swój poziom artystyczny, jest w dużej mierze zasługą Barbary Kostrzewskiej — kierownika artystycznego od 1960 r. Niełatwe są jej zadania. Kierownik artystyczny musi znać się na wszystkim: na rzemiośle aktorskim, na sztuce wokalne, na dyrygenturze i sprawach scenografii, poza tym powinien być pedagogiem. Trzeba przecież przekazywać rzeczy, dla których nie ma czasem odpowiedników słownych. P. Barbara ukończyła studia w konserwatorium krakowskim i we Lwowie u prof. Augusto Dianniego. — Jemu najwięcej zawdzięczam, twierdzi. To o niej pisał Waldorf: „nie wiem, czy Lublin zdaje sobie sprawę z zaszczytu, który go spotkał, że ma u siebie Kostrzewską”.

Trudno inaczej pisać o „kierowniku”, który w ciągu jednego, 1938 roku wyraźna na primadonnę Teatru Wielkiego w Warszawie. Rozwój kariery rozpoczętej w tak oszalałym tempie przerwała wojna. To przeszkodziło w wyjeździe do Włoch po naukę i sławę. Potem po raz drugi nie udało się p. Barbarze wyjechać za granicę, gdzie miała kręcić film z Janem Kiepurą.

Wśród zbiorów B. Kostrzewskiej obok strzępów afiszy — pamiętek po zburzonej Warszawie, tu bowiem przeżyła wojnę, można napotkać zdjęcia, programy i recenzje z występów z najslawniejszymi polskimi i obcymi śpiewakami, dyrygentami. Po wojnie była primadonną Opery Śląskiej, Krakowskiej, Poznańskiej, Warszawskiej. W tych ostatnich trzech na dyrektorkę legendarnego już Waleriana Bierdiajewa. Z tym dyrygentem nagrala również sporo płyt, a wśród nich „Straszny dwór”, w którym śpiewała partię Hanny. Jeszcze przed wojną nazywano ją polską Erną Sack.

B. Kostrzewska ma za sobą wielokrotne występy w Danii, w Szwecji, w ZSRR i w Czechosłowacji. W Moskwie odnosiła sukcesy w filharmonii, operze, radiu i telewizji. Na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych była jedną z najpopularniejszych śpiewaczek polskich. Szkoda, że p. Barbarę tak rzadko słyszymy w Lublinie. Za swoje zasługi dla rozwoju kultury muzycznej w Polsce została odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Medalem Dzieściolecia PRL.

Pamiętamy ją z filmu „Warszawska premiera” w reż. Jana Rybkowskiego. B. Kostrzewska zagrała rolę Włoszki panny Rivoli, która pierwsza śpiewała Halkę. Film ten rozstrzelił wielką naszą operę po całym świecie.

Z Lublinem Barbara Kostrzewska zawarła znajomość w czasie jednego ze swych gościnnych występów. Potem została kierownikiem artystycznym Operetki. O swojej działalności mówi sama rozmówczyni:

— Największą moją troską był repertuar, starałam się wprowadzać operetki współczesne. Obecnie udało mi się uzyskać bez dewiz dwa musicale Szweda Delgady, którego polska premiera „Nie ma czasu na miłość” była momentem przełomowym dla Operetki lubelskiej. Staramy się zaspokoić wszystkie potrzeby, raz w sezonie wystawiamy operetkę klasyczną.

— Zmiany repertuarowe, komentując, pokazały na scenie nowych bohaterów, wprowadziły do operetki świat współczesny.

— Tradycyjnych ksiądz traktujemy naprawdę operetkowo, dopowiada p. Barbara.

— Jaki typ inscenizacji uważa Pani za nowatorski?

— Najbardziej zbliżony do musicalu. Daleko idącą umowność w scenografii i inscenizacji. Kostańczony chór, rozśpiewany balet, nie ma między nimi granicy. Aktorzy „stoją obok swoich postaci”. W naszej operetce tę tendencję realizują tacy reżyserzy, jak Beata Artemska, Jerzy Ukleja, choreografowie Stanisława Stanisławska, Mikołaj Kopiński, Witold Borkowski, scenografowie Jerzy Kondracki, Jerzy Torończyk, Kamykowski. Przed moim przybyciem w podobny sposób wystawiono „Karię Panny Mary”.

Ta droga artystyczna doprowadziła Operetkę do najpoważniejszego jak dotychczas przedsięwzięcia, są nim „Krawiacy i Górale” w inscenizacji dyrektora Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie Bronisława Dąbrowskiego, ze scenografią Adama Kiliana.

„Nowinki” wprowadzone przez p. Kostrzewską widać się przyjęły i spodobały publiczności, skoro musical — „Dziękuję ci Ewo” Renna osiągnął rekordową liczbę stu siedemdziesięciu

przedstawień i jeszcze nie schodzi z afisza.

Od kwietnia tego roku dyrektorem Operetki jest Tadeusz Chabros. Z rozmowy z nim dowiedziałem się o potrzebie budowy własnego pawilonu, zlokalizowanego w pobliżu budynku ODO. Znajdą tam dla siebie pomieszczenia pracownia stolarska, malarska, krawiecka. Będą sale prób dla chóru baletu i solistów.

Budowa pawilonu jest podyktowana nagłą koniecznością. Wszystkie pracownie, magazyny, sale prób są rozsiadane po całym mieście. Wszędzie koszmarnie warunki pracy, sprzeczne z zasadami higieny i bezpieczeństwa. W pracowni stolarskiej dziurawy dach grozi zawaleniem. Pracownia malarska jest bez światła dziennego i bez ogrzewania. W pracowni ślusarskiej ściany porosły grzybem. Garderoby są ciasne, nie ma w nich bieżącej wody, brak również natrysków.

Drugim problemem są najniższe w Polsce etaty artystyczne i techniczne. Niższe od minimum ustalonych przez Ministerstwo Kultury i Sztuki. Nowy pian etatów, który może wejść w życie od stycznia 1963 roku, umożliwi normarną pracę i korzystnie wpynie na efekty artystyczne. Rewne trudności repertuarowe spowodowały oszczędności dewizowe.

Innym kłopotem są niepełne kwalifikacje zawodowe członków zespołu artystycznego. Szkoły teatralne nie kształcą narybku dla teatru tego typu.

Muzycy orkiestry operetkowej są również zatrudnieni w Filharmonii, niełatwo pogodzić interesy obu tych instytucji, często wyjeżdżających na występy poza Lublinem.

Nowy dyrektor, oprócz przedsięwzięć związanych z budową pawilonu i zmianą pianu etatów, uzyskał zmianę ekranu stałego na zwijany (Operetka występuje przecież w sali kinowej). Nowy ekran pozwoli na wprowadzenie zmiennego repertuaru, tak potrzebnego dla naszego teatru.

To udogodnienie teatr i widzowie zawdzięczają niezwykle przychylnemu dla spraw kultury dyr. Gustawowi Krupie. FSC wykonała bowiem duży waleń, na który nawija się ekran. Produkcji z powodu dużych rozmiarów waleń nie chciała się podjąć żadna spółdzielnia!

— Operetka otrzymała wreszcie samochód ciężarowy z przyczepą, do przewozu dekoracji. To pozwoli nam lepiej obsłużyć teren, — mówi dyr. Chabros.

Dzieje Operetki obfite w trudności i konflikty wskazują mimo to na stały postęp, troskę o widza i na to, że w Lublinie tworzy się dobra Operetka, o ciekawym indywidualnym obliczu artystycznym w przyszłości.

## WYKRADANIE OGNI

W OSTATNICH latach pojawiło się parę tomików poetyckich noszących w tytule słowo „ogień”: Stachury „Duo o ognia”, Sadowski „Nad ogniem”, a także „Wykradanie ognia” Wandy Bacewicz. U Stachury ogień jest częścią jego liturgii i obrządku święcenia się, urasta do rangi kompleksu literackiego. A w najnowszym tomiku W. Bacewicz. Tytuł prowadzi od razu na trop mitu prometejskiego. Ale rychło trop ten się urywa, tytuł nie powoduje głębszych następstw dla całego zbioru. Materia jego jest zupełnie inna.

Dla ścisłości trzeba powiedzieć, że „Wykradanie ognia” nie jest debiutem autorki. Pierwszy tomik nosił tytuł „Cisza i ciemność” i on mógłby obejmować i traktować ostatecznie dotychczasowego dorobku poetki. „Cisza” sygnalizuje wrażliwość muzyczną autorki, wyczuwanie na dźwięk, na melodię (także w drugim zbiorze cisza należy do motywów przewodnich). Ciemność zapowiada obecność wrażliwości również malarskiej, skłonność do nadania myśli czy pojęcia wyrazistego konturu obrazowego. Sprawdźmy, jak się to dwa żywioły — muzyczny i malarski — realizują w „Wykradaniu ognia”.

Zwiotł muzyyczny, mniej wyrazisty, trudniejszy jest do uchwycenia. Wskazywać na motywy muzyczne, na słowa, które przywołują dźwięk, byłoby ułatwieniem i uproszczeniem sobie sprawy. Muzyczność jest tu bardzo dyskretna, zawiera się niekiedy w rodzaju kompozycji czy aluzji do gatunku muzycznego („Nokturn”), a najczęściej w organizacji zdania na obszarze wiersza. Autorce nie zależy na tradycyjnej melodiowości, na muzyczności monotonnej i schematycznej. Jej wiersze zwykle dalekie są od tego. Ich kameralny charakter narzuca frazę prostą i spokojną, choć często urozmaiconą dysonansem, frazę bardziej ostrą i szorstką.

Obrazowość i malarskie widzenie narzuca się natomiast z całkowitą oczywistością. Przede wszystkim widoczne jest to w kompozycji wierszy, których co najmniej kilka realizuje zasady tryptyku. Ale ważniejsze jest to, co leży bardziej głęboko. A więc widzenie przestrzenne, jak w tym fragmencie „Dyptyku”:

A przestrzeń rośnie  
gdy ją w ramach oglądasz  
rozsada konstrukcję

oraz konkretyzując przedmioty personifikacje, które mitologizują rzeczywistość na sposób spotykany w wierszach Harasymowicza. Przykład niech będzie z „Tryptyku z natury”:

I przybudówka  
gdzie bierwiona z siekierą  
prowadzą wonne dysputy

Najcenniejsza wydaje mi się ta warstwa obrazowania, która wyrasta z konsekwentnej metaforyzacji. Najlepsze są te wiersze, w których każde zdanie stanowi samostanną metaforę, przy tym ich suma daje całość zwartą i wewnętrznie uporządkowaną. Tak dzieje się w jednym z najlepszych wierszy tomiku zatytułowanym „Ziemniak”.

Ta obrazowość nieczęsto zawiera jednak wewnętrzny dynamizm i ruchliwość. Dlatego wiele wierszy jest beksztaltnych, nijakich, nie narzucających czytelnikowi wizji. Kierunek orientacji wyznacza słowo „cisza”. Już wspomniane. Wiersze Bacewicz są nie zdobywaniem i tworzeniem świata, ale refleksją nad nim, zadumą nad jego przejawami. Stąd wyobrażenia poetki jest raczej lustrem, w którym świat się odbija, stąd pewna bezosobowość tej liryki i skłonność do daleko posuniętej obiektywizacji wiersza, oderwania go od indywidualnego przeżycia. Autorka zdaje sobie z tego sprawę, wyznawala kiedyś: „Ale gdy piszę „Ja” nie myślę tylko o sobie. Uogólnienie każdego przeżycia, przeniesienie go w szerszy plan, obiektywizowanie jest moją ambicją. A głównym zainteresowaniem — psychika człowieka, pasja — branie pod mikroskop ludzkich doznań, uczuć — i to tych powszechnych, codziennych, przed którymi nikt od początku świata obronił się nie potrafił. Stąd może pewna „ponadczasowość”, charakterystyczna dla tego typu wierszy, której jednak nie powinno się odczytywać jako braku związku z rzeczywistością”.

Wydać się, że ta tendencja istotnie znajduje uzasadnienie w praktyce poetyckiej, choć niektóre stwierdzenia należą bardziej do sfery zamierzeń niż osiągnięć. Zacieranie swojego ja może być zacieraniem indywidualności twórczej. Jeśli taka ma być cena obiektywizacji, nie warto jej płacić. Należy zaś szukać nowych rozwiązań, o czym mówi wiersz tytułowy. Tomik trzeci powinien przynieść jakiś przełom.

Tadeusz Klak

\*) Wanda Bacewicz: „Wykradanie ognia”. W-wa Czytelnik.

# MATECZNIK - REZERWAT ZE ZWIERZYŃCEM

KAZIMIERZ BRYŃSKI

**T**RWAJĄCE już od kilku lat organizowanie dużego parku leśno-wodnego na obszarze Wrotokowa — Zemborzyc, jako centralnego ośrodka codziennego, zdrowotnego wypoczynku dla setek tysięcy mieszkańców Lublina, zaczyna powoli nabierać rozmachu. Także tworzenie zbiornika retencyjnego, który zarazem będzie sztucznym jeziorem, umożliwiającym bujny wzrost sportów wodnych i lodowiskowych, przechodzi w zdecydowaną akcję. Wprawdzie do zrealizowania wybitnie pozytywnego dla 200-tysięcznej ludności bilansu ekonomicznego gospodarki narodowej Lublina potrzeba było aż dziewięciu lat oraz katastrofalnych dla miasta Lublina skutków powodzi wiosną 1964 roku, które gospodarkę miasta kosztowały „bagatelną” sumę 22 milionów złotych, ale może obawa, że wiosną roku 1965 lub w czasie katastrofalnego stanu wód w innym okresie roku, trzeba będzie znowu „rzucić w błoto” następne 22 miliony złotych, zmusi kompetentne czynniki do zbudowania tego zbiornika retencyjnego. Nie jest wykluczone, że może powstać konieczność wyzuczenia takich milionów szereg razy, o ile zbiornika retencyjnego w Zemborzycach nie zbuduje się szybko, najpóźniej do końca lata 1965 roku.

Już obecnie w pogodne świąteczne dni letnie przybywało na obszar parku leśno-wodnego 10 do 20 tysięcy osób. Należy liczyć się ze wzrostem tej liczby do 30, a nawet 50 tysięcy osób dziennie, po utworzeniu jeziora zemborzycyckiego. Lasy tego parku, zwłaszcza zemborzycycki, będą narażone na silną dewastację nie tylko runa, ale i krzewów, a nawet drzew. Brak możliwości zakładania przez ptactwo gniazd w krzewach, a utrudnione na gałęziach drzew wysokich, wypłaszanie ptactwa przez nieuniknione w pewnym stopniu hałasy, spowodują bardzo silne zmniejszenie się ilości ptactwa w tej strefie. To pociągnie za sobą zachwianie równowagi biologicznej i nadmierny rozwój owadów, zwłaszcza szkodników leśnych i drzew owocowych.

Sosny np., które wpływają bardzo dodatnio na warunki zdrowotne człowieka, mogą zostać zagrożone przez dziesiątki gatunków owadów, żerujących miliardami, tak w formie dojrzałych, jak i w formie gąsienic, na liściach i gałęziach. Znane są katastrofalne giniecia lasów, z powodu drobnych owadów, jak kornik, barczatka-sosnówka, strzygonia choinówka, poproch cetylniak, osnuja gwiazdzista i wiele innych.

Dzielnym szprymierzem człowieka jest świat ptasi. Jedna uszatka zjada rocznie tysiąc myszy polnych. Pięć młodych szpaków zjadło w jednym dniu tysiąc trzysta gąsienic. Jedna zięba może w lesie uchronić 21 drzew sosny od groźnej osnuj gwiazdzistej. Jedna sikora bogatka chroni w lesie 36 drzew przed zniszczeniem w czasie masowego pojawu osnuj gwiazdzistej. Jedna mała sikorka-mysikrólik niszczy w ciągu jednego roku dziesięć milionów owadów. Jedna pliszka zjada dziennie ponad tysiąc owadów, ważących razem dwa razy więcej niż waży ciało pliszki. Pożyteczne są też kukulki, dzięcioły, puszczyk, płomykówka i inne. Bażanty w Czechosłowacji, których jest tam 10 milionów sztuk, nie dopuścili do rozszerzenia się plagi stonki.

Nadmiernemu rozwojowi szkodników ze świata owadów zapobiegnie wyodrębnienie części lasu zemborzycyckiego jako matecznika-rezerwatu. Matecznik ten, niedostępny dla publiczności, odgradzony kilkumetrowej szerokości żywopłotem z krzewów ciernistych i kolczastych, z dużą ilością drzew i krzewów dostarczających ptactwu i innej zwierzynie nie tylko kryjówek, ale i wielostronnych pokarmów, nawet zimą (np. witaminowa jarzębina dla ptactwa), umożliwi ptactwu dobry rozwój. Z matecznika będzie ptactwo wylatywać na żer na inne strefy lasu (zwłaszcza w godzinach porannych, małego nasilenia ludzi) oraz na najbliższą okolicę. Skorzystają na tym także okoliczne sady i ogrody w dużym promieniu.

Dla polepszenia walorów przyrodniczych matecznika oraz pełniejszego wypoczynku ludzi w przyległej strefie utworzy się dokoła matecznika szeroką na pół kilometra strefę ciszy. Matecznik będzie równocześnie zwierzyńcem fauny krajowej. Będzie to

jakby bardzo obszerny ogród zoologiczny, w którym w wybitnie swobodnych, zbliżonych do naturalnych, warunkach, żyć będą krajowe zwierzęta.

Zwierzyńcem ten musi mieć pewną partię wody. Winien więc objąć prócz części wnętrza lasu także najbliższy odcinek jeziora, więc w pobliżu wpływu Bystrzycy do jeziora.

Dla umożliwienia publiczności obserwowania zwierząt utworzy się specjalną terasę obserwacyjną, skąd promiennie rozchozic się będzie poprzez las kłuka przesteków. Umożliwią one dobry wgląd w głąb kniei leśnej i partii wodnej matecznika. Celem zważania zwierzyny uokuje się przy przesiekach kilka karmników z karmką opowiadnią dla danych gatunków zwierząt.

Występuje tu bardzo korzystna zgodność między potrzebami rezerwatu-zwierzyńca, a nakazami oszczędności finansowych w tworzeniu sztucznego jeziora.

Jezioro o głębokości kilku metrów przy zaporze będzie się spłycać do zera metrów u swego początku, to jest przy wpływie do niego rzeki Bystrzycy. Partie jeziora głębsze od półtora metra winny w całości być przeznaczane na pływanie, żeglowne itd. Natomiast odcinek płytszy niż półtora metra chciano odciąć dwoma wałami od właściwego jeziora, postawić dwie hydrofony, by stały wypompowywały wodę z przyległego dna doliny Bystrzycy i pozostawiały ten odcinek dna doliny suchym. Więc pakowanie milionów w inwestycje, a potem dodatkowe koszty eksploatacyjne po to, by zabezpieczyć kilkunastu czy kilkadziesiąt rolników przez kilka lat zyski... z siana! Bo chyba nikt rozsądny nie zgodziłby się, by centrum ośrodka mającego służyć celom zdrowotnym, sportowym i kulturalnym, nastawiać na produkcję siana.

Jezioro to można zbudować bez tych dodatkowych kosztów, bo bez wałów i hydrofona. Można ewentualnie usypać kilka zabezpieczających odcinków wału od strony wsi. Już od roku 1956 postuluje pozostawienie tej płytkiej części przyszłego jeziora bez obsuszenia jej. Najpłytsze partie pokryją się wkrótce roślinnością wodną. Zatrzymywając się tu będą niesione prądem namuliny. Będzie to jakby osadnik dla namułu, przez co właściwa część jeziora mieć będzie czystsza wodę.

Otóż ten płytszy od półtora metra obszar wodny, około 500 m szerokości a 1.200 m długi, doskonale nadaje się na partię wodną zwierzyńca. Należy go więc włączyć do obszaru matecznika leśnego i odpowiednio zabezpieczyć przed szkodliwą ingerencją ludzi, podobnie jak część leśną.

Powstaną wspaniałe warunki dla gnieźdzenia się i rozwoju dzikiego ptactwa wodnego, jak dzikie kaczki, czaple, labędzie, mewy i wiele gatunków innych. Polepszy to też warunki życia zwierząt leśnych.

W tym zwierzyńcu będą więc mogły żyć sarny, danielę, jelenie, może także losie, koniki bilgorajskie, inne mniejsze ssaki, ptactwo leśne, mnóstwo ptactwa wodnego, także drapieżne, trochę gadów, płazów, owady itd. Wielkość zwierzyńca — 200 ha lasu i wody — umożliwi zwierzynie dużą swobodę.

W przyszłości można kierować prąd rzeczny tuż pod brzeg leśny zwierzyńca, przez co zapewni się stałe wodę także zwierzynie leśnej oraz polepszy warunki życia i bezpieczeństwa ptactwu wodnemu w okresach silnego obniżania poziomu wody w zbiorniku retencyjnym, w razie spodziewanych katastrofalnych opadów lub wód roztopowych. Zyskalaby na tym także „ptasia wyspa”, kilkusetmetrowej średnicy.

Dla roztoczenia należytej opieki naukowej i technicznej, nad opisanym matecznikiem leśno-wodnym i zwierzyńcem, utworzona zostanie przy tym mateczniku Przyrodnicza Stacja Naukowa Fizjograficzno-Komisji Przyrodniczych Towarzystw Naukowych w Lublinie. Będzie ona mogła sprawować także opiekę nad fizjograficznymi walorami reszty parku leśno-wodnego, przeprowadzać badania naukowe i umożliwiać wykorzystanie dydaktyczne tego obszaru.

Na konferencji odbytej w dniu 4.XI.1964 r., połączonej z wizją lokalną, w której uczestniczyli przedstawiciele Prezydium Miejskiej Rady Narodowej ze swym przewodniczącym oraz przedstawiciele Fizjograficznej Komisji Przyrodniczych Towarzystw Naukowych w Lublinie, podkreślano, że „zielone” tereny na Sławinku i w Zemborzycach będą się nawzajem uzupełniać pod względem florystycznym i faunistycznym, co mieć będzie ogromne znaczenie naukowe i dydaktyczne nie tylko dla szkół

akademickich, średnich i podstawowych, ale także dla szerokiego rzeszy ludności miasta, a nawet województwa.

Konferencja ta, ujęta urzędowym protokołem, doprowadziła do zgodnego stwierdzenia, że omawiane sprawy, między innymi matecznik leśno-wodny, który winien objąć także przyległy odcinek doliny Bystrzycy będący w zasięgu spływającej się części przyszłego jeziora, należy jak najszybciej realizować.

## BAEDEKER LITERACKI

ANDRZEJ KIJOWSKI: PSEUDONIMY  
CZYTELNIK 1964

**T**OM opowiadań Kijowskiego składa się z dwu utworów (tytułowego i drugiego pt. „Szyfr”), połączonych wspólną tendencją i tematyką. W obu wypadkach Kijowski sięga do lat wojny, umieszczając następnie swoich bohaterów (choć to słowo nie bardzo do nich pasuje) w rzeczywistości powojennej.

W opowiadaniu pierwszym postać naczelną — młoda konspiratorka, pseudonim Katarzyna — jest wewnętrznie pusta, porusza się siłą rozpedu bądź też — ulega nieoczekiwanym (psychoanaliza) impulsom. Katarzyna (w ewyilu Helena) siłą rozpedu wchodzi po 1945 r. w tryby nowej konspiracji. Siłą rozpedu po wyjściu z więzienia pracuje, mieszka, wyjeżdża na wczasy. Nieoczekiwanie na pozór impuls każe jej narzucić małżeństwo przypadkiem poznanemu człowiekowi na etacie buchaltera. Po roku mieszczańskiej namiatki życia i po próbie odejścia umiera. Kijowski zdaje się nikogo nie winić za zmarnowane życie swojej bohaterki, nikogo oprócz właściwie jej samej, jej psychicznych uwarunkowań stawiających ją właściwie na pograniczu rzeczywistości.

To samo nieprzystosowanie, czy raczej niezdolność do życia ludzi „normalnych”, przejawia bohater drugiego, ciekawszego i bogatszego konkrucyjnie opowiadania. Jest nim rówieśnik Katarzyny pojawiający się w utworze właściwie tylko we wspomnieniach. Chłopiec został zabity w czasie wojny, w zagadkowych okolicznościach. Szuka go ojciec, po przesłaniu dwudziestu latach nieobecności w Kraju. Pragnie zrekonstruować wypadki, szuka świadków. Jednocześnie przeżywa — we wspomnieniach — na nowo swoje życie, traci poczucie jego wartości, by na koniec odzyskać ją w niespodziewanym telefonie żony, zabranej do kliniki dla obłąkanych.

Oba utwory to raczej opowieści o silnym nasytaniu psychologizmem w rysunku postaci — niż realistyczne opowiadania, co zdawałoby się sugerować tematyki, zwłaszcza w drugim z nich. Marginesy życia, marginesy świadomości, wewnętrzna pustka, jaka odczuwają niemal wszystkie postacie. Oba utwory owiane są aurą dziwności, odrealnienia, przytłaczają olowianą szarością pesymizmu. W sumie: jeszcze jeden — niewątpliwie ambitny — przyczynek do naszych niekonających się rozrachunków z wojenną i przedwojenną rzeczywistością.

ZBIGNIEW LAPIŃSKI: FLIRT Z MEDY-  
CYNĄ PAŃSTW. INST. WYDAWN. 1964

Zupełnie niezła powieść (lekarze mają dobrą tradycję w literaturze polskiej i w innych), której można zarzucić dwie rzeczy: 1. tytuł — lekki i żartobliwy, podczas gdy książka jest pełna zagadnień twardej, nierządka botanicznych, wymagających namysłu i prowokujących do dyskusji, 2. zakończenie — bohater zrywa ze szpitala, w którym panują rzeczywistości obrzydliwe stosunki, a sam przesyła się do innego miasteczka, gdzie atmosfera w szpitalu jest zupełnie inna.

Pominawszy już sam fakt rezygnacji z walki, zastawienie choroby na pastwę karierowiczów i pijaków, winę bohatera pogarsza to, że przyczynił się do odejścia z Maczugowa drugiego młodego i pełnego dobrych chęci lekarza. Ten ostatni odszedł co prawda do maleńkiej miściny jako pomocnik i „koadiutor” lekarza — starszka, niemniej jednak trzeba stwierdzić, że dwu młodych lekarzy w Maczugowie mogłoby z czasem urodzić tamtejszą atmosferę. Lapiński narzucił mi publiczystyczną wymowę swojej powieści temat do dyskusji, choć powiolenem, (jak wynika z tytułu tych felietonów) omówić raczej walory literackie jego książki. Same jednak zalety stylu i języka nie decydują (przez ze sztuką dla sztuki!) jeszcze o randze utworu. Powieść Lapińskiego ma zresztą i te zalety. Napisana jest bynajmniej nie „papierowo”, przeciwnie światek lekarza Maczugowa to ludzie krwisi i kościści. Nie czarno-biali, raczej szarzy z mniejszą lub większą dozą czerni, ponurej czerni płamiącej blei ich lekarskich fatuchów.

ADAM AUGUSTYN: ORZEŁ I ORZELEK  
WYDAWN. LITERACKIE 1964

Kolejny debiut powieściowy. Kolejna nadzieja i — jak prawie zawsze — szczypta rozczarowania. Niby wszystko w porządku, cacy cacy, ale czegoś tu brak, czegoś tu (i w innych debiutach) za mało. Są to (jak w sygnalizowanej już w Baedekerze powieści S. Miernika) wrażenia młodego nauczyciela z pierwszych miesięcy pracy w większej szkole ujęte w kształt wyznań czy wspomnień. Mimo względnej poprawności literackiej nieodparcie narzuca się wrażenie, że autor lepiej by zrobił pisząc dobry reportaż pedagogiczny.

MARIAN ERANDYS: OFICER NAJWIĘK-  
SZYCH NADZIEL. ISKRY 1964

Znany reportażysta, autor „Nieznanej Księgi Poniatowskiego”, wydał nowy „reportaż historyczny” — tym razem o Józefie (omalże nie księciu) Sułkowskim. Książka nie należy ani wyłącznie do hi-

storii, ani wyłącznie do literatury. Choć zapewne i historycy i literaci zechcą ją uznać za swoją. Jest to opowieść, czy może raczej esej oparty na źródłach historycznych, wygrzebanych z niemającym szałczy i indeksów (cennych niewątpliwie w pracy ściśle naukowej). Napisany po dziennikarsku, właśnie tak, jak podobnie wyglądał dobry reportaż literacki. Dlatego też użyty na początku pół żartobliwie termin: reportaż historyczny — wydaje się dosyć ściśle określać charakter książki. Legendarna i tajemnicza postać Józefa Sułkowskiego od dawna kusi i prowokuje do coraz nowych ujęć. Autor wspomina Zeromskiego, Skalkowskiego, Askenazego, z nowszych Brandstettera i któregoś podejściem do młodzieńczej lat Sułkowskiego w „Znakach wolności” żywo polemizuje) czy Karola Koźmińskiego, autora wdanej w 1961 r. w „Iskrach” powieści historycznej pt. Meteor. Brandyś miał szczęście dotrzeć do materiałów rękopiśmiennych dotąd nieznanymi, stąd jego książka przynosi wiele faktów i oświetla faktów innych niż u poprzedników. Tytuł książki (był to oficer największych nadziei) zaczerpnął autor z listu Napoleona do Dyrektoriatu.

B. K.

## Firma poleca

(Dokończenie ze str. 11)

Niziurski „Sposób na Alcibiadesa”, J. Hildick „Jim Starling”, Y. Manffred „Zatopiona Fregata” i A. i Cz. Centkiewiczowie „Tumbo z Przylądka Dobrej Nadziei”. Najtańsza (3 zł), a przy tym ciekawa nowa seria dla młodszego dzieci (10—12 lat) to opowiadania autorów dawnych i współczesnych. Wyszyli już w tym cyklu: B. Hertzka „Taś-taś”, W. Kozłowskiego „Tehórz”, S. Lagerlöff „Zamieniec”, K. Pawstowski „Burza na stepie” i S. Zawadzkiej „Dzień Staśka z Powiśla”. Wymieniłem jeszcze trzeba książki o charakterze poznańskim dla dzieci od 8 do 11 lat. Jest w nich tematyka różnorodna, obejmująca opowiadki popularyzujące sprawy z zakresu historii kultury, cywilizacji, techniki, geografii, przyrody, życia codziennego itp. Równoległą rolę z tekstem spełnia tu strona graficzna, operująca fotografią, rysunkiem, łatwym poglądowym wykresem i tablicami. A oto niektóre pozycje: M. Kaczyński „Chłopiec z Gór Organowych”, B. Orłowski „Pradziadkowie Zegara”, A. Słodowy „Umiem majstrować”, L. Życki „Dlaczego koza Ling-Tong skakala”.

Na dziś dosyć. Gdyby jednak ta forma informacji o książkach znalazła uznanie, niżej podpisany prosi o listy swoich, choćby nawet nielicznych. Czytelników.

Jerzy Gembicki

KAZIMIERZ EUGENIUSZ  
STESZUK

## reçe matki

białe szron osiadł na moich [skroniach]

srebrzystym pyłem  
a ja wciąż jak dziecko  
całuję ciepłe  
pachnące ziemią  
mateczne ręce

śkate ręce  
o dłoniach pełnych brzd i odcisków  
są w pocałunku najśladzse  
gdy ścisłkam je na powitanie  
spadającym jesienią liściem

więc pozwól mi mamę  
całować twoje dobre ręce  
pozwól je sławić w wierszy strofach  
szanować  
śpiewać o nich kantaty

Jestem poetą  
poetą zatrudnionym radioaktywnym pyłem  
więc chociaż ty pozwól mi spokojnie  
całować twoje ręce

**P**EWNEGO dnia zatelefonowano do mnie z teatru zapytaniem, czy nie pożyczylabym „czegoś” po niemiecku lub po angielsku o „Weselu”. Mieli miłego gościa z Węgier, chciał poczytać przed spektaklem. Odpowiedziałam — „niestety”. Lecz ów telefon pchnął mnie w kierunku półki, na której stoi dwutomowe dzieło Allardice'a Nicolla „Dzieje dramatu” w polskim przekładzie. Co też mógł napisać o Wyspiańskim cudzoziemiec? Nie pamiętałam... Otóż wśród trafnych na ogół uwag dyrektora Instytutu Szekspirowskiego w Stratfordzie, świadczących o solidnym odczuciu w omawianym autorze, wyskoczył nagle w związku z pochlebną wzmianką o „Legionie” taki pasus: „Ale właśnie ta ostatnia sztuka tłumaczy nam zarazem, dlaczego sława Wyspiańskiego zawsze będzie ograniczona do jego własnego kraju. Tworząc ją autor otwarcie wyznał, że opanowany był jedną z zasadniczych koncepcją — myślą, że Polska jest Chrystusem narodów” (rozstrzelenie moje — m. b. r.), stąd też od razu rozumiemy, że tego rodzaju temat, chociaż być może podnosi autora do rangi pisarza narodowego, zakreśla zarazem granice jego wpływów, sprawiając, że dla cudzoziemców jego twórczość ma tylko historyczne znaczenie. Istotnie, Wyspiańskiego uważać można za najbardziej bodaj klasyczny przykład poety, który, mimo że niewątpliwie obdarzony geniuszem, tkwi tak głęboko korzeniami w własnym kraju, że przeszczerzenie go na obcy grunt jest niemożliwe.

I cóż na to Konstanty Puzyna, który widzi (słusznie!) w „Legionie” atak na mesjanizm romantyczny?

Przytoczyłam powyższą ocenę angielskiego teatrologa, nie aby polemizować z poglądem, iż atmosfera dramatów Wyspiańskiego tkwiła „zbyt głęboko w uczuciach narodowych, by można ją było przenieść poza granice jego ojczyzny” — ten arbitralny werdykt, co najmniej wątpliwy w dobie potężnych światowych prądów wywoleńczych, zasługuje na specjalną, obszerną analizę, mnie zaś tutaj chodziło, przed relacją z dwóch ostatnich oglądanych przedstawień „Wesela” w Lublinie i Rzeszowie, wyłącznie o przypomnienie wielokrotnie stwierdzonego faktu, że subtelna ironia Wyspiańskiego może być nie dostrzegana nawet przez wnikliwego badacza.

Nielatwa jest sytuacja reżysera, który podjął się pracy nad „Weselem”. Bardzo popularny stał się dziś truizm, iż „Wesele” należy grać tak, jak zostało napisane. Zgoda, ale właśnie jak jest napisane? *That is the question!* Co najznakomitsi krytycy, po najgłębszej analizie utworu, oświadczyli w końcu, że jego symbolika nie daje się całkowicie odcyfrować. Mimo to próby odcyfrowania były stale wznawiane, prowadząc częstokroć do wręcz wolutarystycznych wniosków. Jako skrajny przykład dywagacji dochodzących do absurdu można przytoczyć wydaną w r. 1932 w Krakowie rozprawkę Stanisława Szcutowskiego, której autor, przeanalizowawszy dramat raczej spokojnie, wybuchając raptem enuncjacja: „trzeba... ażeby ponownie Matka Boża w koronie raczyła zstąpić na Wawelski Dwór i wskrzesić do historycznego życia nie tylko ciało, ale i Ducha Narodu! Na Bogarodzice-Dziewice, polskiej korony Jasnogórską Królową, pomóżcie, gospodarzu Jaśku!...”

Wybrałam przykład szczególnie jasnej. Ale w gąszczu analiz „Wesela” można znaleźć jeszcze sporo innych komentarzy tym bardziej zwodniczych, im więcej w nich pozorów obiektywizmu gwarantowanego bagażem erudycji. Reżyser, który ma przede wszystkim za sobą większą „lekturę”, a chce i powinien ją dzisiaj uzupełniać, jest narażony na niebezpieczeństwo zagubienia się w lesie sprzecznych argumentów... Tyle że reżyser jest przeważnie „Zosią-samą” i szuka klucza w dziele odcinając się w dużym stopniu od uczonych rozpraw. A więc komentuje z kolei na własną rękę, wsoomagany wyraźniejszą z reguły niż u krytyka wizją plastyczną, która pozwala wyczuć pewne imponderabilia bez pedantycznego — aż do końca — tropienia najmniej komunikatywnych znaczeń symboliki. Ale „coś niecoś” odcyfrować trzeba. Bapatela — trzeba ustalić zasadniczą sprawę dzieła i postawę autora wobec tej sprawy. Niewąska łączka do błędów w wypadku „Wesela”, napisanego „przez pół drw'aco, przez pół serio”. Sordobujcie przeleźcie wszystkie meandry linii granicznej oddzielającej tu drwinę od tragizmu. Zeby chociaż można było scenami, ale gdzie tam! Oba elementy przenikają się nawzajem, stają się w jedno, z negytm nasileniem tego lub drugiego w poszczególnych posta-

# Dwa „Wesela”

MARIA BEHCZYC-RUDNICKA

ciach, w jakimiś błyskawicznie przemijającym momencie.

Zadziwiająca to rzecz, do jakiego stopnia faktura artystyczna „Wesela” jest nowoczesna. Toż to niemal „antydramat”, tylko że nie filozofujący, lecz oparty na ładunku emocjonalnym, na nastrojach. A myśli? Myśli Wyspiańskiego, przebijające doczesną powłokę historyczno-obyczajową, pozostaną aktualne dopóty, dopóki ludzie chować będą złotą podkowę do prywatnej skrzyni. W porę tedy dostrzeżono, że nie ma potrzeby w tak zwanym przybliżaniu „Wesela”, „Wesele” samo się zbliżyło do naszych dni. Ciarki przechodzą na wspomnienie o tym, co uczynił Szajna z „Rewizora” Gogola, sądząc jednak, że to doprowadzenie eksperymentu do absurdu spełni rolę sygnału ostrzegawczego. Tak czy inaczej w wypadku „Wesela” nikt już się nie domaga „eksperymentowania” (co nie znaczy, że reżyser ma ślepo re-spektować wszystkie autorskie *didascalia* i nie wolno mu skreślić ani jednego wiersza). Wymaga się natomiast przezycięcia trudności egzegezy przynajmniej o tyle, o ile to jest niezbędne dla dochowania wierności zasadniczym intencjom Wyspiańskiego.

Państwowy Teatr im. J. Osterwy w Lublinie wystawił „Wesele” dokładnie w 20 lat po pierwszej powojennej lubelskiej realizacji Jacka Woszczerowicza. W ten sposób spał efektywną kłamrą swoje dwudziestolecie. Ładny pomysł spotkał się z powszechnym aplauzem. Pozostaje sprawa wykonania. Tu głosy się podzieliły. Komplety na „Weselu” — to chyba *vox populi*. Uczni i zaś w piśmie odjęli wargi. Oczekiwali cudów wbrew oczywistej prawdzie, że przy skromnych warunkach obsadowych objazdowego teatru wojewódzkiego cudów na „Weselu” być nie może. Trudno więc uważać za słusne ustosunkowanie się tych krytyków, którzy relacjonując obchody jubileuszowe Teatru Osterwy prześliznęli się obok realizacji „Wesela”, jak koło czegoś wstydliwego. Wszak ton jubileuszowy obowiązywał jedynie w momencie przemówień i rozdania nagród i wielki wysiłek wystawienia „Wesela” nie zasługuje na zignorowanie. Każdy wie, że w krytyce teatralnej przemilczenie bądź lakiernictwo jest bardziej przykre niż wytożenie gorzkich nawet, ale umotywowanych zarzutów, umożliwiających dyskusję. Sądzę, iż inscenizatorka lubelskiego „Wesela” Zofia Modrzewska jest reżyserem tej miary, że można było wszczać z nią bodaj ostrą polemikę bez obawy podania w wątpliwość jej wysokiej rangi artystycznej.

Ale o cóż właściwie poszło? Otóż wydaje mi się, że Zofia Modrzewska, analityk zazwyczaj wrażliwy na złożoną problematykę sztuki, niedostatecznie tym razem uwierzyła w sarkastyczną postawę Wyspiańskiego wobec wymyślonej przez inteligencję jego czasów koncepcji solidaryzmu — pańsko-chłopskiego współdziałania społecznego. I jeszcze mniej uwierzyła, że Wyspiański rozprawia się w drugim akcie „Wesela” z relikami romantyzmu. Tymczasem ta właśnie postawa pisarza nadaje ton większości partii „Wesela”, bez tego tonu nie ma „Wesela” Wyspiańskiego. Swego czasu Puzyna, w interesującym esej „Zagadnienia „Wesela”, określił dzieło jako pamflet polityczny. Etykieta podchwyciono i rozkolportowano po wszystkich wiewiórdztwach, splycając treść definicji mimo przestrogi jej autora, który zaznacza wyraźnie, iż drwina „Wesela” jest postawą pisarską rosnącą z rozczarowania i że tu właśnie ma swoje korzenie wstrząsający tragizm utworu. Jasną więc jest rzeczą, że „Wesela” nie można grać w samych tonach sarkastyczno-ironicznych (bo i tacy „eksperymentatorzy” mogliby się znaleźć), ale równie jasną jest rzeczą, że nie należy go grać jako analogii sarmackiej teźwiny. Faktura „Wesela” i jego osobliwa atmosfera ironiczno-tragiczna wymaga wykonania w technice mieszanej, jak wiele sztuk nowoczesnych. Na tym polegają trudności gry aktorskiej w tym arcydziele.

Mniej stosunkowo kłopotów nastęca akt I, bo któż by miał za złe, jeśli jest białocień kolorowy? Niech się widzi tym bogactwem nacieszy — powiedział słusznie jeden z dawnych kry-

tyków. Chodzi jednak o to, by nie było tu przerostów „zdołnictwa” (jak — mówiąc przykładowo — przetrzymanie korowodu weselnego na pierwszym planie), chodzi o to, by w przepychu folkloru nie zagubiły się satyryczne rysy tych czy innych postaci, a tak się niestety stało w lubelskim przedstawieniu, gdzie np. Pan Młody (gra go Tytus Wilski) jest jedynie rozbrajającym w swym rozkochaniu — panem młodym, podczas gdy tekst najwyraźniej wskazuje, że Wyspiański zakpił sobie z płytkiego ludofilstwa prototypu postaci, którym był — wlemy to — Lucjan Rydel. W ogóle ten pierwszy akt jest utkany, jak wiadomo, z elementów autentycznych i mamy tu szereg ludzi znanych z imienia i nazwiska, ludzi z otoczenia Wyspiańskiego, pokazanych wraz z ich „bala-muctwami” metodą szopki, ale w karykaturze niezwykle finezyjnej, na jaką było stać Wyspiańskiego. „Przez pół serio, przez pół drw'aco” — powtórzmy to jeszcze raz.

Nieporozumienia akcentują się zwłaszcza w akcie II, w rozrachunku z oderwanym od życia na jawie patosem romantyzmu. Niejeden reżyser potknął się na tym akcie, którego tenor ideowy majaczy poprzez poetykę snu i bajki. Łatwo tu wziąć za dobrą monetę wieszczbę Wernyhory i popaść w podniecenie pseudopatriotyczne. Tymczasem to, co się tutaj „w duszy komu gra”, jest graniem niedobrym. Jeśli przyjmujemy, że Chochół, katalizator zjaw, fantasmagorii, jest niejako personifikacją tego, co było zwodne w tradycji narodowej („Orły, kosy, szable, godła, pany, chłopcy pany”), ten Chochół, który wprowadzie chroni zimą różę krzak, ale zarazem go dusi, śmieć, który powinien być wymięciony z domu (dziecko to przecie widzi!) — otóż wystarczy, byśmy to pojęli, a stanie się dla nas rzeczą jasną, że Wyspiański poczynając od ukazania się Chochóla aż do końca sztuki demaskuje deklaracyjność, słomiany zapal — w postaciach Poety, Gospodarza, Czepca, demaskuje jalo-we „kajanie się” Dziennikarza, tę „spowiedź cudzych grzechów”, wreszcie demaskuje skłonność młodego Jaśka do „pawich piór”. Zrozumiemy też, że nawet wruszający epizod Marysi i Wid-

ma goździ w fałszywy romantyzm zbliżeń pańsko-chłopskich, których Marysia padła ofiarą. Wydaje mi się, że właściwie od początku II aktu można potraktować całą dalszy ciąg jako partyturę wielkiej symfonii snu — że to, co jest tu quasi realne, jest śnieniem, a to, co wykracza poza ten „śniony” realizm, jest snem do kwadratu. Toteż i ziota podkowa, i sznur, i złoty róg są z mego punktu widzenia literacko-realne jako symbole, a widmowe jako rekwizyty snu.

Ogólne zalamanie się w III akcie, rezultat „narodowych bala-muctw” pokolenia, dręczącego świadomość Wyspiańskiego, najmniej stwarza pokus do idealizowania postaci w końcowej partii „Wesela”. Ich tragiczna rozterka wywołuje raczej współczucie. III akt znalazł tedy w Zofii Modrzewskiej bardzo wrażliwego reżysera, zwłaszcza finał z jego powszechnym odrętwieniem („To ich Lęk i Strach tak wzion...”) i somnambulicznym tańcem — wypadł wręcz wstrząsająco.

Na plus lubelskiego przedstawienia można też zapisać zgola nieprowincjonalną jego prezentację. Spektakl jest wypieszczony od strony wizualnej. Dekoracja Jerzego Toronczyka jest nieco nawet snobistycznie prze-fajnowała, odbiegająca od skromnego modelu bronowickiej chaty. Ale co najważniejsze — poszczególne postacie noszą piętno dobrego warsztatu aktorskiego i na technice gry aktorów mniej doświadczonych znać współpracę z tro-skliwym reżyserem-pedagogiem.

Na czoło zespołu wysunął się tym razem Jerzy Filio jako wykonawca bezbłędnej postaci Zyda. Cóż za finezyjna ironia w dialogach z Panem Młodym i Księdzem (też nienajgorzej zrobionym przez „Trzy gwiazdki”). Bardzo wruszająca jest Elżbieta Jagielska — Marysia, zarówno w scenie z Widmem (Zbigniew Szejman — aktor nowy w Lublinie, dobrze się zapowiadający), jak z Wojtkiem, granym przez Zbigniewa Czeskiego z ujmującą szczerością. Interesująco wypadła Marynia w inteligentnym wykonaniu Zofii Stefańskiej. Maria Szezechówna nadała postaci Racheli dużą dozę kobiecego wdzięku, który przetwarzał sentymentalną egzaltację w swoistą poezję. A już Panna Młoda była samym oczarowaniem. Wydaje mi się, iż Jelanta Bohdal mogłaby śmiało stanąć obok najlepszych wykonawczyń tej roli. Dużo też słów uznania padło (i słusznie) pod adresem Włodzimierza Wiszniewskiego, bardzo „temperamentnego” Czenca. Z satysfakcją widzi się, jak wysoki poziom osiągnął ten aktor od r. 1958, kiedy stawał u nas pierw-

(Dokończenie na str. 16)



„Wesele” w P. Teatrze im. W. Siemaszkowej w Rzeszowie. Na zdjęciu: Stefan Winter (Gospodarz) i Zdzisław Kozień (Czepiec)

## Ostrożnie z symbolami

**P**O ostatnich podróżach różnymi szlakami kraju poczułem się zmuszony dokonać pewnych rewizji. Urządząmy konkursy reporterskie na temat Polski B, w ogóle hodujemy jeszcze ten termin w oznaczeniach geograficzno-symbolicznych, a tu rzeczywistość lubi płatać figle. Nie, żeby wykreślał ów podział, bo wyrażony udziałem w tworzeniu dóbr materialnych przez tę strefę, stopą życiową mieszkańców na pewno posiada jeszcze racje istnienia. Trzeba jednak dostrzegać, ile się tu zmieniło, a nawet jakie psikusy sprawia już teraz przyrównywanie Polski B do A. Czasem chciałoby się nawet zapytać: kto jest kto — jak maćwiają Anglicy.

Jest regułą, że gdy wjeżdża się samochodem na szosy województwa kieleckiego, w stare maszyny wstępuje nowy duch. Kończą się kocie lby od strony warszawskiej Warki, wąskie, kiepsko latane trakty od Katowic, a następuje rejon gładkich nawierzchni, starannych oznakowań, a ze zgiętych i ruchliwych postaci drożników promieniują aktywność i zapobiegliwość. Kielecki, prawie całkowicie już wykonany kilkuletni plan budowy dróg zadziwił kraj. Pod tym względem nie ma tu już Polski B.

I na odwrót, gdzie takiej Polski szukać? Wypadło mi jechać samochodem z Kielc do Katowic. Kolo Koziegłów zaczęły się objazdy, ziejące dziurami jezdnie, kręte zaułki, w których przygodny automobilista zdany jest na pokazujące fałszywy kierunek drogowskazy i własny, często zawodny zmysł orientacji. A przecież tego województwa nikt nie odważyłby się nazwać Polską B. Blisko trzecia część krajowej produkcji przemysłowej, produkująca technika, eksport. Mimo to, drogi w rejonie przemysłowego serca kraju są kategorii podławej i co gorsza nie widać aby ten stan starano się zmieniać. Jak pogodzić to z bogactwem Śląska, a zwłaszcza z jego ogromnym obciążeniem transportem drogowym, który wymaga dobrych nawierzchni — to jakaś słodka państwu tajemnica.

Gdzie szukać Polski B? Jakoś trudno ją znaleźć w dawnych tradycyjnych leżach czyli w małych miasteczkach Rzeszowszczyzny, Lubelskiego czy Kieleckiego. Bo nie chce wsiąść się w ów schemat uroczy Brzozów albo Sanok, ani Jędrzejów z swym miłym rynekciem, nie mówiąc o tak przężnych dziś miejscowościach, jak Ostrowiec Świętokrzyski czy Puławy.

I znów porównanie tych zielonych miejscowości, gdzie przydają MRN byle fasadę kamieniczki w rynku troskliwie malują ze szczytych środków swego budżetu, gdzie ułożono w czynie społecznym robotniczą wartość setek tysięcy złotych, by złożyć upragnione wodociągi, kanalizację, powiadam — porównywanie tych miasteczek z koronnymi miastami Polski A przynosi tym ostatnim trochę wstydu. Nie spierajmy się o warunki obiektywne, które czynią np. śląski Bytom miastem zakopconym, szarym, ale mówimy o tym, co bezpośrednio może zmienić wola człowieka. A właśnie w wielu śląskich miastach widać brak chęci przeobrażenia zaskorupiałej patyny naniesionej przez lata — poprzez nie tak trudny do zrealizowania czyn społeczny mieszkańców. który ozdabia i ukwieca.

Dlatego dziś postanawiam oszczędniej obchodzić się z symbolami. Wcale nie jestem pewien, które części Polski jakimi literami alfabety powinny się pieczętować.

Jędrzej

(Dokończenie ze str. 15)

sze kroki w roli Blazjusza z Mussetowej sztuki „Nie igra się z miłością”. Bez wątplenia dużo zawdzięcza wskazaniom Zofii Modrzewskiej, tak samo jak Kazimierz Siedlecki, grający Jaśka z wdzięczną werwą i swobodą w I akcie, z nieklamany przejęciem w akcie III. Nie wolno też pominąć przy dodatnich ocenach — Eleonora Ossowskiej. Artystka nie oszczędza Radczyni, ukazując w pełni jej stanowy egoizm i galicyjskie fanaberie. Reżolna Gospodyni (Nina Czerna), zadziorna Klimina (Maria Kaczowska), zmysłowa Kasia (Elżbieta Święcicka), Czepcowa (Wanda Węslaw), Zosia i Haneczka, unowocześniona wersja Anieli i Klary ze „Ślubów panińskich” (\*\* i Joanna Biesłada) — wypadły dobrze. A zatem wszystkie kobiece role. Na kwiatek z kosza jubileuszowego zasłużyli również: Andrzej Chmielarczyk (Kasper), Stanisław Stojko (Kuba), Zbigniew Szejman (po raz wtóry — jako Staszek). Podwójny wysiłek miał Maciej Polak, pocą się pod słomą Chocholową i pod zbroją Rycerza Czarnego. Wernyhore zagrał poprawnie w zaproponowanej konwencji Witold Zarychta.

Sprzeczać by się można z ulubieńcem publiczności, Aleksandrem Aleksym o postać Gospodarza. Czy nie należałoby jej nieco przyciszyć, biorąc pod uwagę, że jest to w grupie chłopomanów pokazanych przez Wyspiańskiego postać stosunkowo najlagodniej potraktowana. Młody aktor Włodzimierz Figura wyszedł rzec można obroną ręką z nieprawdopodobnie ustawionej roli Poety. Miał udane momenty w szermierze słownej zarówno z Maryną, jak z Rachelą. Natomiast więcej można było się spodziewać po Januszu Cywińskim, aktorze doświadczonym. Wiodącą rolę Stańczyka mu nie leży. Co do Adama Cieślaka (Nos), to należałoby bezzwłocznie zgłosić do Dyrekcji dezzyderat, by przestała wreszcie narzucać mu specjalizację w psychologii pijaństwa.

W ogólnym rozrachunku najslabiej wypadł intelektualista Dziennikarz, co było dla nas niemalym zawodem po sukcesie Cezariusza Chrapkiewicza w roli szekspirowskiego Malkolma.

Rzeszowskie przedstawienie „Wesela”, które widziałam wkrótce po lubelskim, zaleca się przede wszystkim

wiernością tekstowi. Reżyser, Stefan Winter, poczynił skreślenia bardzo ogólnie i celowo, zachowując też postacie Ojca, Dziada, Isi, Upiora i Hetmana, czym nie może się niestety poszczycić Lublin. Wydaje mi się również godna uznania pomysłowość dekoracji Antoniego Tośty, gdzie prostota realistycznej chałupy łączy się zreżymie z syntetyczną symboliką zastępującego pulap splotu wstąg, tiulu i kwiecica. Sądząc po wynikach, „Wesela” zostało tu trafnie odczytane. Świadczy o tym w głównej mierze ton gry większości aktorów. Ale także

## Dwa „Wesela”

choćby i fakt wprowadzenia Isi do końcowej sceny I aktu, mający stworzyć motywację jej sceny z Chocholem na początku aktu II. Aczkolwiek o potrzebie takiego stawiania kropki nad i można by dyskutować (właśnie z punktu widzenia wierności Wyspiańskiemu), niemniej szczegół ten mówi o istnieniu gruntownie przemyślanej koncepcji inscenizacyjnej. Niektóre postacie podobały mi się więcej niż lubelskie, niektóre mniej. Doskonale wrzenie zrobił na mnie jako Pan Młody Józef Jachowicz, który wygrał cały zaśob ironii odautorskiej zawartą w tej postaci. Prawdziwym majstersztykiem był epizod Nosa w wykonaniu Tadeusza Czarnowskiego. Stefan Winter w roli Gospodarza zachował umiar artystyczny, szczęśliwie unikając przejawskrawionego parodiowania patosu. Wsłowy autentyzm Panny Młodej (Anna Bieńkiewicz) trafiał w zupełności do przekonania. Intelektualne zaś Ignaszki Maryny (Elżbieta Litwińska) i Poety (Zdzisław Nowicki) trzymały uwagę widzów w napięciu. Rachelą (Lidia Maksymowicz) była interesująca, zagadkowa, nieco Ibsenowska (co chyba mieści się w tej postaci Wyspiańskiego). Zadnych zastrzeżeń nie nasuwa ani spokojna sylwetka Żyda (Janusz Urbański), ani wypracowana w dobrym warsztacie aktorskim postać Czepca (Zdzisław Kozieł). Miłe słowo należał się też Lillianie Brzezińskiej, debiutującej pomyślnie w roli Isi.

**K**SIĄZKA Stanisława Gogolowskiej pt. „Szkoła okrucieństwa” nie jest wytworem fantazji autorki, ale zbieżnym dokumentem zbrodni hitlerowskich dokonywanych na terenie okupowanego Lwowa, przede wszystkim zaś dotyczy historii obozu janowskiego (nazwa od ulicy Janowskiej), który nie ma na swym koncie tak bogatej bibliografii, jaka może poszczycić się Oświęcim, czy nawet Majdanek (jest to bodajże dopiero druga książka w ogóle, a pierwsza w Polsce o obozie janowskim). „Szkoła okrucieństwa” należy zatem potraktować jako ważne uzupełnienie wiedzy o martyrologii narodu polskiego, a zarazem dokument dużej wagi oskarżający faszyzm.

Losy autorki spłoty się nierozdzielnie z historią obozu od pierwszych chwil jego powstania, w nim bowiem więziono jej syna, do ludzi zza drutów przyjeżdżała nie tylko z paczkami żywnościowymi, ale i z grypsami, meldunkami z organizacji podziemnych, bronią itd. Toteż autorka wyznaje: „Było mi jednak dane poznać w owych czasach pogary nie tylko c.ry ogrom upadku, podłości ludzkiej i zwyrodnienia, ale również niezwykłe bohaterstwo, poświęcenie i szlachetność”.

Stanisława Gogolowska wzięła na siebie w książce rolę narratorki, naocznego świadka, nie ograniczając się do zrelacjonowania tego, co widziała, z czym stykała się w obozie, ale starając się także zaopatrzyć uzyskane obserwacje i doświadczenia w komentarz. Dystans czasowy pozwolił Gogolowskiej na dojrzale przedstawienie wydarzeń w obozie, osobiste zaś przeżycia wpłynęły na stworzenie sugestywnych obrazów, bardzo przemawiających do czytelnika, angażujących w akcję książki.

Dzięki „Szkole okrucieństwa” poznajemy życie Lwowa i więźniów obozu janowskiego — podwójne, to oficjalne wobec władz niemieckich i nieoficjalne, w którym kierowniczą rolę odgrywały organizacje w oparciu o patriotyczne elementy ludności tamtych terenów.

W książce Stanisławy Gogolowskiej można wyróżnić kilka momentów kompozycyjnych, które podkrywane zostały czasem akcją, a także celem, jaki wytknęła sobie autorka pomna na realistyczne przedstawienie wydarzeń. „Szkoła okrucieństwa” nie jest jednak typowym pamiętnikiem, brak w niej charakterystycznych cech dla tego rodzaju formy, świadczą o tym także często stosowana selekcja materiału. Utrwalenie tego, co było najistotniejsze w pewnych sytuacjach, jakie wywarzało życie, bezprzykładne cechy charakteru czy umysłu ludzi podejmujących walkę z okupantem (np. postać żydowskiego dziecka — Szymka) — to są problemy i czynniki, które najbardziej zajmują autorkę i nad którymi najczęściej zatrzymuje się jej pióro.

Groź przeżyć więźniów w obozie janowskim Gogolowska ukazała czytelnikowi z kilku płaszczyzn, z punktu widzenia człowieka, który za drutami miał syna, ale sam pozostawał na wolności, toteż wiedzę o obozie przekazuje taką, jaką uzyskuje z obserwacji, kiedy znajduje się na terenie obozu i wydaje paczki więźniom, a także przenosi grypsy. Autorka zdaje sobie jednak sprawę z tego, że doznania i doświadczenia jej nie są wtedy pełne, tę fragmentaryczną znajomość maszyny obozowej uzupełnia więc sądami innych ludzi, którzy pracują w obozie, ale nie są więźniami, lub wplata do fabuły listy otrzymywane od syna. Coraz szersze zataczająca kręgi akcja niesienia pomocy więźniom, w której niemal rolę odegrała

„Nie znam bliżej zespołu Teatru im. Wandy Siemaszkowej, myślę jednak, że „postarzenie” Dziennikarza (gra go Franciszek Buratowski) nie wyszło postaci na dobre, odbarwiając ją pewną dozą apatii. Można też byłoby oczekiwać bardziej żywolewej rozpaczy w ostatniej scenie Jaśka, którego gra Zdzisław Sikora, aktor znany w Lublinie z jak najlepszej strony.

Brak miejsca nie pozwala mi na szczegółową ocenę całej obsady. Poza wymienionymi już artystami grają: Teofila Zagłobianka (Marysia), Andrzej Girtler (Ojciec — chłop trochę za „intelektualny” jak na rok 1900), Irena Żuromska (bardzo subtelnie narysowana Radczyni), Jadwiga Wysocka (Klimina), Jerzy Rostkowski (Staszek), Janina Węglanówna (Gospodyni), Marek Chodorowski (Wojtek), Edward Apa (Dziad), Włodzimierz Mancewicz (Kasper), Wincenty Zawirski (Ksiądz i Chochol), Alina Zydroń (Zosia), Barbara Barez (Haneczka), Stanisława Rylska (Czepcowa), Aleksandra Bonarska (Kasia), Adam Fornał (Widmo), Marian Maksymowicz (Rycerz Czarny), Władysław Trojanowski (Upiór) i wreszcie znany lubliniakom Włodzimierz Kaniowski, którego niestety z powodu jego choroby nie widziałam, a tym samym i świetnie podobno zrobionej przez niego postaci Hetmana.

Wykonanie odpowiedzialnych ról Stańczyka (Grzegorz Galiński) i Wernyhory (Ireneusz Erwan) było w zgodzie z ogólną koncepcją reżyserską.

Summa summarum miło mi stwierdzić z przekonaniem, że żadna rola w spektaklu rzeszowskim nie została „polażona”. Rzetelne to przedstawienie, nacechowane dużym pietyzmem dla Wyspiańskiego.

Państwowy Teatr im. W. Siemaszkowej, pod dyrekcją Stefana Wintera, obchodził niedawno swoje 20-lecie. Ma on niemałe zasługi w krzewieniu kultury teatralnej na Rzeszowszczyźnie, trzeba to omówić oddzielnie przy innej sposobności.

Liczne uwagi, jakie wypadło poświęcić ocenie dwóch niedawnych wcieleń scenicznych „Wesela”, zabrały miejsce, które się należało również innym

# SZKOŁA OKRUCIEŃSTWA

ELŻBIETA ROSIAKOWA

Gogolowska, pozwala jej na wzbogacenie wiedzy o obozie. Są momenty, że autorka staje się sędzią postępowania katów hitlerowskich, może poznać ich lepiej w obozie i poza jego terenem, wśród więźniów (np. wtedy, kiedy przyprawiała grupę do kąpieli, kiedy pija i pod wpływem alkoholu popielnia zbrodnię), lub podarzy i ojców.

Ciekło urotworzona droga do obozu Janowskiego i działalność Komitetu Pomocy Więźniom (przekupstwo, spryt, a także odciążenie w poważnym stopniu władz obozowych od problemu aprobowania opłaty). Na terenie obozu działała bowiem organizacja „Trzech muzykantów” (pod tym kryptonimem kryła się organizacja komunistyczna), której trzon stanowili w dziedzinie mierze uczniowie z konserwatorium. Zadaniem organizacji była samopomoc więźniom słabszym, konsolidowanie kolektywu, udział w pomyslnym przeprowadzeniu ucieczek z obozu, sabotaż, a także kontakty poprzez Komitet Pomocy Więźniom z partyzantami spod Rawy Ruskiej i Brzeżan, zaopatrywanie w bron.

„Działalo kilka grup, które wzajemnie nie o sobie nie wiedziały. Nie myślano już tylko o samopomocy i ucieczkach. Przygotowywano się do zbrojnego oporu. Oprócz paczek i grypsów szmuglowałam teraz do obozu również broń (prawie wyłącznie rewolwery). W nocy odbywały się na przyczajach tajne zebrania, uczono się obchodzenia z bronią, rozkładania jej na części (dla łatwiejszego ukrycia) i składania z powrotem”.

W centrum zainteresowań autorki jest nie tylko obóz janowski, ale także i getto. W tych kręgach ukazuje bohaterka śmierć zarówno mężczyzn, jak kobiet czy dzieci.

Doceniając rolę dokumentu w przekazywaniu wiedzy o czasach pogardy, Gogolowska przytacza w „Szkole okrucieństwa” tekst piosenki, którą śpiewano w obozie, a która nawiązuje do rzeczywistości więziarskiej. Atmosferę obozu najlepiej oddaje zwłaszcza ostatnia zwrotka: *Wszystko jest tu do sprzedania Jedna rzecz jest nawet tania To jest ludzkie życie, To jest ludzkie życie...*

Obok kolekcji zbrodniarzy wywiezionych w reżimie mordowania, dzięki Gogolowskiej poznajemy i takich, dla których dopiero obóz janowski stał się szkołą okrucieństwa, miejscem deprawacji. Zamilowanie autorki do kreślenia miniaturowych psychologicznych znalazło tu doskonały materiał, który umiejętnie wykorzystuje.

Najcenniejsze jednak uwagi o obozie czytelnik otrzymuje w tych partiach książki, gdzie autorka stała się więziarką. Zwraca się ona do czytelników: *„Teraz dopiero będąc więziarką zrozumiałam, jak byłam naiwna sądząc, że znam obóz i życie w nim.”*

Obecnie poznałam całą jego groź i wszystkie okropności”.

Kolejne książki i osobiste przeżycia autorki, ucieczka z obozu, wiadomość o bohaterkiej śmierci syna i wreszcie ponowne aresztowanie, więzienie z koszmarem przesłuchiwań i wyjazd w odrutowanym pociągu do najbardziej udanych, świadcza bowiem o głębokim humanizmie narratorki, która w czasach pogardy przeżyła typowy los prawdzich, zaangażowanych Polaków. Toteż na pewno spełnione zostało życzenie autorki: *„Pisałam z nadzieją, że może ta książka sprawi, że pamięć o nich nie zaginie”.*

Stanisława Gogolowska: Szkoła okrucieństwa. Lublin, 1964, Wydawnictwo Lubelskie, s. 223, 1 nrb + szkic planu obozu

## JANINA BRZOSTOWSKA

### Uwielbiam

Uwielbiam owych mistrzów którzy uczą kochać życie, i nawet z minionego czasu patrzają ku nam z uśmiechem.

Nie tych płaczków zgraja którym istnienie tylko bezsensu się zdaje, bliska jest ludziom dobra spragnionym, rozumnym,

lecz garstka tych, nielicznych, którzy tak po prostu przynoszą mądrość swoją w zamęt naszych domów i mówią: — Czy widzieliście jak ten kwiat jest piękny? — ażeby pomóc.

przedstawieniom pokazanym w czasie jubileuszu Teatru im. J. Osterwy. Postaram się to powetować „Zejściu do piekła” Iredyńskiego oraz „Karolowi” i „Czarownicy nocy” Mroźka w najbliższym czasie, wszak sztuki te cieszą się niesłabnącym powodzeniem, będą jeszcze długo grane w Lublinie i w terenie.

Maria Bechzyc-Rudnicka

# QUO VADIS UNIVERSITAS?

(Dokończenie ze str. 1)

uniwersytet w średniowieczu takim autorytetem, że król angielski Henryk II swój spór z arcybiskupem Canterbury poddał orzecznictwu uniwersytetu paryskiego. (XII w.). Ale nie można zapominać, że były to czasy, kiedy prawie powszechny analfabetyzm sprawiał, iż nauka, opromieniona powagą kościelną, napawała tłumy podziwem i szacunkiem graniczącymi z zabobonnym lękiem. Był też uniwersytet korporacją grzeszącą z tego powodu wielką pychą, symbolizującą się gronostajami i drogocennymi berłami, nie zawsze idącą w parze z szukaniem rzetelnej prawdy i tę prawdę nieraz fałszującą. Tenże uniwersytet paryski rozpowszechniał legendę o swoim pochodzeniu ze sławnej akademii ateńskiej z czasów Platona, którą Juliusz Cezar miał przenieść do Rzymu, a Karol Wielki do Paryża. Czasy ciemnoty przemijały, a pycha nie przemijała, choć z kultu uniwersytetu niewiele już pozostało. Bo oto Johann Wolfgang Goethe, wielki poeta, uczonec, humanista i minister, i Wilhelm Humboldt, jeden z twórców nowoczesnego językoznawstwa ogólnego i mąż stanu, w jeńskich prawie słowach niezbyt pochlebnie wyrażali się o współczesnych członkach korporacji uniwersyteckiej: „Kierować uczonymi to niewiele lepiej niż przewodzić trupie komediantów”. Były to wprawdzie czasy, kiedy absolutyzm „oświeconych” panujących dążył do podporządkowania sobie opornych „intelektualistów”. Dziś nie lekceważymy sobie ani uniwersytetu, ani uczonych. Przeprowadzona w Polsce ankieta pokazała, że stanowisko profesora to zawód najbardziej szanowany. W czasach wielkich przeobrażeń, a więc głębokiego sceptycyzmu i krytycyzmu, ten szacunek nie powinien jednak fałszować nam obrazu rzeczywistości uniwersyteckiej.

Z dyskusji modelowej wynika, że proces dezintegracji uniwersytetów przez wyodrębnienie się wydziałów w samodzielne szkoły wyższe nie budzi dziś wielkiego zału. Jeden tylko z dyskutantów docent Mieczysław Karaś sygnalizuje: „Obserwuje się w środowisku krakowskim poważne dążenie do integracji szkół wydziałowych w jeden organizm... jest to objaw bardzo symptomatyczny...”. Z dalszego ciągu tej wypowiedzi staje się jasne, że nie chodzi o powrót wydziałowych wydziałów do uniwersytetu tylko, że „wysuwa się potrzebę wzajemnych powiązań w zakresie wielu dyscyplin naukowych oraz pewną (nieuzasadnioną) izolację i jednokierunkowość środowiska pozouniwersyteckiego... Wysuwa się barwnie s'nie jakieś zapotrzebowanie na integrację środowisk szkół wyższych...”. Trudno w takim ujęciu potrzebę integracji dopatrywać się postulatów powrotu „wydziałów oddzielonych” na łono Macierzy. Panuje chyba walne przekonanie, że „przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia”. Ale również powszechny jest pogląd, że dzisiejszy uniwersytet musi zyskać jakiś celowy kształt — musi przestać być grupą obcych sobie szkół zawodowych o rozkojarzonych (jeżeli nie „włóczęgich”) katedrach i stać się jakąś organiczną całością.

Czy uniwersytet ma kształcić studentów w określonym zawodzie, czy też kształcić ich ogólnie, jednako z nachyleniem kierunkowym, przystosowanym oczywiście do potrzeb przyszłego zawodu? Tak wygląda problem, który stał przed reformatorami szkół wyższych w Polsce Ludowej od samych jej początków i stoi po dziś dzień. Odpowiedź na postawione pytanie nigdy nie była skryształowana nawet dla danego momentu historycznego. Odpowiadaliśmy na to pytanie pełną rozterką i różnie. Odzwierciedla to znakomicie brzmienie kolejnych ustaw. Ustawa z 1933 o szkołach akademickich stanowiła, że zadaniem szkoły jest przygotowanie studentów „do wykonywania zawodów, wymagających naukowego opanowania danej gałęzi wiedzy samodzielnego sądu o wchodzących w zakres zagadnień teoretycznych i praktycznych”. Dekret z 1947 o organizacji nauki i szkolnictwa wyższego ten sam cel określił w sposób osłabiający postulat wykształcenia w zawodzie: była nim mowa o „kształceniu kandyda-

tów do zawodu”. Ustawa z 1951 o szkolnictwie wyższym z kolei wzmacnia postulat zawodowości: szkoły mają przygotowywać pracowników o najwyższym poziomie kwalifikacji zawodowych. Obowiązująca ustawa z 1958 o szkołach wyższych znów osłabia postulat z zawodowości: mówi ona o kształceniu kadr wysoko kwalifikowanej inteligencji zawodowej. Takie ujęcie podkreśla wyraźnie moment ogólnego wykształcenia niezbędnego do wykonywania przyszłego zawodu.

Dyskusja modelowa wykazała, że panuje zdanie, iż uniwersytet nie może tak wyszkolić studenta, by jako absolwent mógł wprost po uzyskaniu dyplomu wykonywać obrany zawód. Przyszły wysoko kwalifikowany zawodowiec z wyższym wykształceniem dopiero w procesie wykonywania pracy zawodowej naprawdę kształci się i doskonali w zawodzie. Ale żeby mógł zawód opanować, musi mieć właśnie ogólne teoretyczne wykształcenie — z nachyleniem niezbędnym do naukowego opanowania swojej profesji. „Przeszliśmy, mówi rektor Uniwersytetu Wrocławskiego Alfred Jahn, drogę trudną i pełną nieporozumień. Mówiliśmy o konieczności podnoszenia „profesjonalności” uniwersytetów, gdy tymczasem właściwe wydziały kształcenia zawodowego odchodziły jeden po drugim od tych uczelni (np. medycyna, rolnictwo). Powstały też odrębne szkoły ekonomiczne i pedagogiczne... Podniosło się znaczenie tych szkół, a rola uniwersytetów, zwłaszcza w stosunku do wyższych szkół technicznych zdecydowanie malała”. Zofia Morecka dziekan wydziału ekonomii politycznej UW widzi uniwersytet przyszłości jako wielowydziałową uczelnię o specyficznym nachyleniu, podlegającą coraz głębszym procesom wewnętrznej integracji. „Cechą swoistą uniwersytetu winno być dominowanie... dyscyplin tzw. podstawowych — stanowiących bazę rozwoju wszelkich innych nauk”.

Docent Adam Kersten z UMCS ubolewa nad „rozkojarzeniem” podstawowych funkcji uniwersytetu. „Nie zamykając oczu trzeba jasno i wyraźnie powiedzieć, co... dalej z uniwersytetami. Ośmielę się twierdzić że rzeczywistość stawia przed nami dosyć żywoty problem, oczywiście w perspektywie nie lat, ale dziesiątków lat: jak daleko ograniczona zostanie rola uniwersytetu, co wypada robić — zachować bierność, współdziałać z istniejącym już dziś procesem, czy też ostro mu się przeciwstawić”. Zdaniem Kerstena funkcji uniwersytetu w zakresie nauk społecznych nie mogą przejąć ani instytuty naukowe, ani wyższe szkoły pedagogiczne, ani towarzystwa upowszechniające wiedzę. W dziedzinie tych nauk ma uniwersytet istotny cel do spełnienia — przekształcenie świadomości społecznej w pełnej jedności trzech procesów: badawczo-twórczego, nauczania i szerokiego upowszechniania wiedzy. Dalej Kersten szkicuje podstawowe wady w metodyce nauczania uniwersyteckiego. Wykład kursowy jest zwykłym anachronizmem. Na pierwszych latach studiów student nie ma prawie absolutnie kontaktu z konkretnym procesem twórczym. „Dostaje on przetrąta papkę podrecznikową i bardzo często różnicę między nauczaniem szkolnym a uniwersyteckim polegają jedynie na zgromadzeniu nieco większej ilości materiału i nieco innym systemie egzekwowania wiadomości”. Ćwiczenia prowadzi się o wiele bardziej „faktograficznie” niż kilkanaście lat temu. „Ćwiczenia dają studentowi bardzo rzadko umiejętność pracy naukowej...”.

Jaka jest przyczyna tak płytkiego nauczania nie mającego nic wspólnego z naukowaniem przedmiotu nauczania? Miałem już okazję przyczynę sygnalizować („Reforma studiów wyższych”, „Kamena” nr 11 br.). Jest nią przeładowanie. Przy obecnej ilości przedmiotów na danym roku, która na przykład na wydziale prawa przekracza dwukrotnie ludzkie możliwości, student nie jest w stanie uczciwie sprostać zadaniu. Może on opanować przedmioty tylko „do egzaminu” i odpowiednio do notowań na „gieldzie”. Profesor nie jest w stanie stosować uczciwych wymagań bo gdyby to uczynił doprowadziłoby do obłania egzaminu przez znakomitą większość studentów. Radykalne zlikwidowanie przekraczającego wszelką rozsądną miarę przeładowania programu może nastąpić jedynie przez znaczne ograniczenie ilości przedmiotów na roku. Obecnie student jest obowiązany do opanowania wszelkich specjalności w zakresie danego wydziału, a to dla osiągnięcia nieosiągalnego celu — uzbrojenia się w zdolność wykonywania każdej profesji w zakresie danej grupy nauk wydziałowych. Jeżeli zrezygnujemy z dążenia do osiągnięcia

# KIERUNEK ZMIAN W PLASTYCE LUBELSKIEJ

IRENEUSZ J. KAMIŃSKI

**P**RAKTYKA wystawiennicza potwierdza istnienie kilku czynników determinujących sens i wartość środowiskowych wystaw plastycznych, które mają stanowić przegląd aktualnej sytuacji w ośrodku twórczym. Ekspozycje te powinny gromadzić typowe prace aktywnej twórczości grupy plastyków oraz ukazywać całą ewentualną różnorodność kierunków, tendencji i metod artystycznych właściwych dla danego terenu. Czynnikiem już poza-organizacyjnym będzie oczywiście stopień indywidualności i związany z nim poziom reprezentowanej twórczości. Dopiero tak urządzona wystawa może powiedzieć prawdę o obliczu środowiska.

Z pewną więc satysfakcją możemy odnotować spełnienie tych warunków w przygotowaniu wystawy „20 lat PRL w twórczości plastycznej” otwartej 13 grudnia 1964 r. w salach lubelskiego BWA, potraktowanej jako eliminacja okręgowa do ogólnopolskiej wystawy pod tym samym tytułem, której otwarcie przewidziano na rok przyszły w Warszawie. W skład ekspozycji lubelskiej wchodzi około 150 prac malarstwa, grafiki i rzeźby 49 autorów.

Większą część zestawu widzieliśmy już na wystawach wcześniejszych, zbiorowych lub indywidualnych, a tacy znani malarze jak Filipiak i Kononowicz byli wielokrotnie omawiani przy różnych plastycznych okazjach; ich plótka widniejąca na obecnej wystawie są dalszym potwierdzeniem właściwej im, wcześniej ukształtowanej postawy twórczej. W tej sytuacji wydaje się bardziej celowe zwrócenie uwagi na pewne nowe zjawiska — nie tylko artystyczne, które swoją jakością i szerokim oddziaływaniem określają, być może, przyszły kształt plastyki lubelskiej. Oto kilka uwag nasuwających się po analizie poszczególnych działów wystawy.

Koloryzm z właściwymi mu konsekwencjami formalnymi przestaje powoli dominować w naszym środowisku. Jest co prawda nadal poważnym nurtem skuniamącym wielu starszych plastyków, ale zakres jego zmniejsza się w sposób widoczny. W świadomości młodszej generacji pojęcie koloryzmu i jego metod twórczych należą do przeszłości, a środki wypowiedzi uważa się za nieprzdatne dla wyrażenia złożonych problemów współczesności. Faktem jednak pozostało, że młodzi wiele zawdzięczają szkole kolorystycznej, której wyraźne ślady odnajdziemy w niejednej pracy. Poś dobrym przykładem krzyżowania się i wzajemnej wymiany wartości pomiędzy koloryzmem a współczesnym myśleniem plastycznym są plótka Górniaka. Wychodząc z postimpresjonistycznej funkcji koloru (związanego w końcu z rzecz-

mi i zjawiskami) dochodzi do barwnych plaszczyn o nieczytelnej przedmiotowości, ale zmiernych za to do istnienia przedmiotowego („Uliczka”, olej). Inne za to prace są typowe dla malarza-kolorysty.

Twórczość afiguracywna i metafizyczna znajduje wyzawców i praktyków przede wszystkim wśród młodych, chociaż malarzom starszego pokolenia także nie jest obca (nie wystawione, lecz ziane „Metaformy” Filipiaka). Sztuka ta mówi o świecie dziś jeszcze niedostępnym empirycznemu poznaniu, a być może „trójwymiarowemu” jutro, o rzeczywistości hybryd techno-biologicznych (J. Ziemiński), o niedostrzecznych, leżących na strychach i śmietnikach kształtach materii, które wystarczy podnieść i zdecydować, aby stały się przedmiotem sztuki. Na pozor nie łatwiejszego, a jednak... Zobaczcie zresztą sami „Kompozycję III” K. Kurzątkowskiego. Ci młodzi i nieco starsi są czasem dowcipni i „robią na złość”, pokazując lustra z przylepionymi fragmentami fotografii, piór ptasich, z kawałkiem reprodukcji renesansowego obrazu. Nie ma powodu do zdenerwowania, nie należy rzucać obelg pod adresem autora (W. Borowski), ponieważ te lustra są jedynie dowcipem plastycznym, a poza tym pozwalają poprawić makijaż czy fryzurę — łączą „przyjemne z pożytecznym”.

Zwraca uwagę większa niż dotychczas liczba młodych plastyków uczestniczących w wystawie. Pozwala to dostrzec niedaleką już aktywizację grup twórczych traktujących sztukę jako subiektywny środek osobistej wypowiedzi, podporządkowany w zasadzie jednemu założeniu: wewnętrznej niesprzeczności. Jednak obok tej zasady, równie ważną dla właściwego rozwoju sztuki jest sprawa realizmu, rozumianego nie jako styl, lecz — „stanowisko wobec rzeczywistości”: wielopłaszczyznowej i wychodzącej poza tradycyjnie ujmowany zakres, sprządzany często do zjawisk zewnętrznych. Niektóre prace wystawy przekonują, że plastycy rozumieją sens tego określenia. Niczym przeciętym innym, jak plastyczną materializacją rytmu miasta, są dzieła M. Hermana („Pejzaż z Sopotu”). Jeśli młody plastyk domyśli pewne sprawy do końca i zrezygnuje z przypadkowych i obcych całości elementów — wówczas mamy szansę zobaczyć wcale interesujące obrazy.

Natomiast niewielkie prace malarzko-graficzne A. Adamczyk wprowadzają w świat form inspirowanych często przez słońce drzewne, ludzkie postacie i słońce przetłumaczone na język czerni i bieli. Ta kameralna twórczość zdaje się posiadać możliwość bardzo oryginalnego rozwoju.

Pewni malarze wykazują znaczne postępy na drodze wzbogacania warsztatu i pogłębiania twórczej konsekwencji prowadzącej do autentyzmu. I znów wypada mi wymienić młodych — A. Jedliczkę („Pejzaż”), Durakiewicza, K. Górniaka. Większa swoboda operowania środkami formalnymi, konsekwentna transpozycja obiektywnej rzeczywistości zgodna z własnym światopoglądem artystycznym — oto zasadnicze cechy tego postępu. Podobny, a więc dodatni przejaw ewolucji widać także w plótnach Jadwigi Filipiak, intuicyjnie i znakomicie rozkładającej kolory kształtujące rzeczywistość malarzką, której klimat emocjonalny zbliża się czasami do wymowy dzieł Wojtkiewicza, pomimo całej odmienności metod obrazowania („Kukielki”, temp.).

Dział grafiki charakteryzują dwa elementy. Jednym z nich jest chroniczny brak różnorodnych i złożonych technik metalowych powszechnie stosowanych na terenie całego kraju i umożliwiających cały szereg nowych i ciekawych rozwiązań graficznych. Drugim, łatwo dającym się zaobserwować faktem, jest supremacja artystów o ustalonej pozycji (Szulcowie, także Jelonek). Dobrze zapowiadający się Strzałkowski, o którym wielokrotnie i z nadzieją pisałem, w ostatnich realizacjach jest oschły i powierzchniowy.

Grafikę wystawiają również malarze, lecz widać, że powstaje ona na uboczu ich głównego zainteresowania. W rzeźbie pojawili się konkurenci Strzyżyńskiego, którzy właściwie sam od kilku

tego mirażu i wytkniemy sobie jako cel — zgodnie z wynikiem omawianej dyskusji — wprowadzenie do świadomości studenta głębszych fundamentów teorii danej gałęzi wydziałowej, okaże się wystarczającym przerobieniem w ciągu roku dwu — trzyprzedmiotowej grupy przedmiotów. Tę grupę student może sobie sam wybrać spośród wykładanych na roku przedmiotów. Ten system nie prowadzi bynajmniej do likwidowania jakiegokolwiek z istniejących katedr. Rucamy tylko myśl, która wskazuje kierunek reformy: mniej a lepiej. Ta droga prowadzi do stworzenia możliwości naukowego pogłębienia w nauczaniu uniwersyteckim.

Dyskusja modelowa miała mieć za przedmiot koncepcję współczesnego (socialistycznego) uniwersytetu. Po przeanalizowaniu wypowiedzi dotychczasowych trudno oprzeć się wrażeniu, że — jeżeli rominać trochę wypowiedzi deklaracyjnych w tym samym stopniu co słusznych i praktycznych mało klarownych — dyskusja przesunęła się z zagadnień modelowych na zagadnienia metodologiczne i naukowo-dydaktyczne, zagadnienia, które stoją przed wszystkimi szkołami wyższymi. Widocznie do rzetelnej dyskusji modelowej w sprawie przyszłego kształtu uniwersytetu jako szkoły o specyficznych celach — nie jesteśmy jeszcze przygotowani. Trudno się temu dziwić. Jest to u nas pierwsza próba tego rodzaju dyskusji — o ile mi wiadomo — bez precedensu na świecie.

Emanuel Iserzon

(Dokończenie na str. 18)

# PRZEGLĄD PRASY

Szewczyk sądzi, że treścią działania kulturalnego wśród górników powinien stać się ożenek wartości tradycyjnych z nowymi formami, zlo bowiem często wyrasta z lekceważenia społecznie wartościowych tradycji kulturalnych wytworzonych przez społeczność górnictwa.

Numer „Poglądów” zawiera też jedną pozycję dotyczącą Lubelszczyzny. Znajduje się tu mianowicie interesujący reportaż G. Pyki „Należców Zeromskiego i Prusa”.

„Ruch muzyczny” w dwóch kolejnych numerach zajmuje się omówieniem i oceną ostatniej „Warszawskiej Jesieni”, jej plusów i minusów. Numer najnowszy czyni to w dwóch artykułach: B. Pocięja „Poza dobrem i złem” i T. A. Zielińskiego „Odkrycia i wydarzenia”. Drugi autor bierze za punkt wyjścia dla swych ocen i rozważań ustalone pojęcia o muzyce, dlatego o utworach takiego np. Cage'a mówi, że jest to „obłędna idea”, że jeśli nawet jest to zjawisko ciekawe, jest „zjawiskiem wykraczającym poza pojęcie twórczości muzycznej”. Dlatego nie zajmuje się krytyk jego analizą. A wydaje się ono być właściwością także i innych dziedzin sztuki (malarstwa, poezji), które chcą wyjść poza siebie, poza swoje możliwości, materiał i język. Ze nie osiąga się celu? Czasem ważne jest samo dążenie.

Próbę odważną teoretycznego wyjaśnienia tych zjawisk daje B. Pocięja, pisząc ciekawie i szeroko o eksperymencie artystycznym, jego istotnej funkcji. Eksperyment zapowiada rodzając się nowość, zwiastuje to, co ma nastąpić. Na ostatniej „Warszawskiej Jesieni” trzy były — zdaniem autora — skrajne i szczytowe przejawy eksperymentu: utwory Góreckiego, Schäffera i Cage'a.

T. K.

## Do Redakcji „Kamery” w Lublinie

Rzadko się zdarza, by aktor jako współtwórca widowiska teatralnego, zwłaszcza aktor nieprzychylnie oceniony przez sprawozdawcę, a nawet uznanego recenzenta zabierał głos właśnie w sprawie takiej nieprzychylnie oceny. Czyniąc to bowiem, naraża się na dwa (co najmniej) niebezpieczeństwa:

1) Redakcja wypowiedzi jego nie zamieści (nie ma bowiem takiego prawnego obowiązku).

2) Redakcja wprawdzie wypowiedź zamieści, ale uzupełni ją repliką swojego sprawozdawcy, oczywiście jeszcze mniej przychylną dla zaatakowanego aktora.

Jeżeli więc, zdając sobie sprawę z tych niebezpieczeństw, proszę o głos w sprawie sprawozdania z przedstawienia „Krakowiaków i Górali” zamieszczonego w „Kamery” (Rok XXXI, nr 28 (56) z 31.X.1984 r.), — pragnę nie tyle bronić siebie jako zaatakowanego aktora, który stworzył postać Stacha, ile wyrazić niekoniunkwencyjnie sprawozdawcy, Krzysztofa Głogowskiego, a może i wyraźne niedostatków w jego „kwalfikacjach” jako sprawozdawcy teatralnego.

Zaczynam od jego oceny poświęconej granej przeze mnie roli. Oto ta ocena: „Nieporozumieniem okazała się rola Stacha, zagrana przez Jerzego Molendę, postaci tej brakowało autentyczności i wdzięku”. To wszystko. Malo, ale wystarczy, by sprawozdawcy zadać kilka choćby pytań.

Po pierwsze: Jakiej to autentyczności domaga się pan K. G., który 3/4 swojego sprawozdania z „Krakowiaków i Górali” poświęcił wyczytaniem w starych kronikach różnorodnym próbom inscenizacji i stylizacji utworu Wojciecha Bogusławskiego, podejmowanym od czasów Bogusławskiego po dni nasze? Warto podpowiedzieć w tym miejscu panu K. G., że tam, gdzie jest stylizacja, nie ma miejsca dla żadnej autentyczności. Prawda stylizowania nie jest i nie może być prawdą obiektywną. O tym powinien wiedzieć nawet początkujący recenzent.

Po drugie: Jeżeli inscenizacja Bronisława Dąbrowskiego zwraca uwagę na „jedynolitość i czystość stylu”, ogarniającą „bezwzględnie wszystkie elementy przedstawienia” i tę właśnie inscenizację przyjele reżyserzy widowiska lubelskiego, postacią utrzymaną w przyjętym stylu musiała być również postać Stacha w moim wykonaniu. Postać to w całości pierwowzorem, nie mogli więc reżyserzy dopuścić do tego, by wylamała się ona z całości, i to tak dalece, by stać się — „nieporozumie-

nie m”. Smiem twierdzić, że do tego dopuścili! — Jeżeli pan K. G. doszedł do przekonania, przyczynę tego w tym tylko w jego niekoniunkwencyjności. Polega na tym, że po obzeranych uwagach w nich, dotyczących dzieł utworu i sławskiego na polskich scenach, a uwagach odnoszących się do różnorodnych stylizacyjnych, zapomniał o tych szych, przechodząc do oceny poszczególnych odtwórców postaci, do oceny zespołu twórczego. Pozostawiając moją skro osobę na sam koniec (chyba nieprzykrowo?), nie szczędił pochwał (na je zasłużonych!) moim koleżankom i koleżanom, ale czego dotyczą te pochwały? Czy zrozumiem fakt, że całość, która w tworzy (a nie odwarza ją na zas), jakiej autentyczności czy weryzm, charakter świadomej stylizacji? Najmniej, uwagi sprawozdawcy mają laczny charakter oceny właściwości listycznie dostrzeżonych i tak potraktowanych. Pan K. G. podkreśla zalety i jak: „wdzięk”, „estradowa kokietery”, „pikantność gwary”, „środki farsy”, „komizm postaci” itp. Konia z rzędem, kto potrafi pomóc panu K. G. w kazaniu, że wymienione „zalety” to nie te środki stylizacyjne, o które chę Dąbrowskiemu w jego stylizowanej inscenizacji „Krakowiaków i Górali”!

Ostatnia sprawa: Zazwyczaj mi pan K. G. brak nie tylko „autentyczności” i „wdzięku”. Oto się już sprzeczać nie mogę. Może rzeczywiście go nie mam i pomyślę oświadczenie recenzenta „Kamery” na wiarę. Ale — mówiąc najogólniej, krytyka ma wtedy sens, jeżeli uzasadni swoje zarzuty. Wtedy czegoś uczy lub chowuje.

Właściwa krytyka musi mieć — weksel i konto w banku — pokrycie, w tym jest przynajmniej garść uwag konstruktywnych. W ocenie pisa K. G. uwag ani śladu. Dlaczego? Odpowiedź na to pytanie pozostawiam tym, którzy dziel lubelskie przedstawienie „Krakowiaków i Górali” i czytali „recenzję” Krzysztofa Głogowskiego.

Zywiak głęboka nadzieję, że Redakcja „Kamery”, powodując się arcyświątym sądem; audiatorem et altera pars, zamieści moją wypowiedź, łącząc wyrazy poważenia.

JERZY MOLENDĘ

Do wiadomości:  
1) KW PZPR Wydział Propagandy,  
2) Redakcja „Sztandaru Ludu” w Lublinie.

Lublin, 5.XII.84 r.

## UZUPEŁNIENIE

W n-rze 2223 „Kamery” przy artykule pt. „Kilka refleksji o konkursach reżyserskich” na skutek przeoczenia rektorów wypadło nazwisko autora — Zbigniewa Ślęczki, za co kol. Ślęczki najmocniej przepraszamy.

REDAKCJA

## KIERUNKI ZMIAN W PLASTYCE LUBELSKIEJ

(Dokończenie ze str. 17)

lat potwierdzał istnienie tego gatunku na Lubelszczyźnie. Figuralne rzeźby Lidii Szpipek, harmonijne i z wycuciem bryły komponowane, dają nadzieję na powstanie dzieł bardziej indywidualnych. Kierunek poszukiwań uwidocznił się dzisiaj poprzez syntetyzowanie kształtu, zwięzłość formy, którym towarzyszy nastrój pogody i pewności („Siedząca”, gips pat.). Szkoda, że nie pokazał swych realizacji młody Mieszko; sądząc po udostępnionych mi zdjęciach pomnika w Tyszowcu reprezentuje nieco odmienną twórczość, bardziej ekspresyjną.

Cechą niejako wspólną dla całości wystawy jest różnorodność postaw i metod twórczych. Fakt ten nie wymaga już dziś wyjaśnienia. Świadomość estetyczna współczesnego plastyka pozwala mu manifestować swój stosunek do świata przy pomocy sposobów, które on uzna za nieodzowne i wypływające z jego osobowości twórczej. Budzi to często kroc masę nieporozumień i wyzwala obawę przed chaosem i brakiem kryteriów, niepokój spotęgowany jeszcze istnieniem quasi-kierunków i pozornych dzieł. Nie wnikając w istotę problemu godnego osobnego omówienia, ograniczyć się pragnę do jego ilustracji zaczerpniętej z cybernetyki: mechanizm skomplikowanego życia naszej epoki nie działa jeszcze na zasadzie sprzężenia zwrotnego, warunkującego (w sferze humanistycznej) harmonię egzystencjalną w najszerszym słowa tego rozumieniu. Tym samym trudno obecnie oczekiwać pojawienia się sztuki jednorodnej, której stylizacja będzie powszechnie akceptowana. Może to nastąpić jedynie w okresie pełnej socjalizacji stosunków międzyludzkich.

Trudno w tej chwili przewidywać istotę sztuki przyszłości, niemniej warto przytoczyć słowa węgierskiego marksisty Gyorgy'a Lucasa dotyczące zagadnień pozostających w tym kręgu: „Każda wielka sztuka — już od Homera, powtórzą to jeszcze raz, jest realistyczna, ponieważ jest odbiciem rzeczywistości. Stanowi to nieomylny objaw wszystkich wielkich epok artystycznych, chociaż środki wyrazu bywają bardzo różne. Kiedy więc mówimy o realizmie, musimy brać pod uwa-

gę czas jego powstania. Z tego punktu widzenia realizm socjalistyczny jest dla mnie po prostu realizmem doby socjalizmu, wytworzonym w łonie socjalizmu. Odrzucam, rzecz jasna, recepty, jak ten realizm ma wyglądać...”

Kończąc omówienie wystawy pragnę zwrócić uwagę na jeszcze jeden ważny moment. Otóż ekspozycja pod względem doboru prac wydaje się nie spełniać założenia zawartego w tytule — „20 lat PRL w twórczości pla-

stycznej” — w nikłym stopniu obrazuje te wszystkie nowości dostrzegane panoramie Polskiej Ludowej, które stanowią rezultat zmian ustrojowych, jednocześnie stanowi przeciw dowód rzeczy bardzo istotnej i leżącej u podłoża zmian zewnętrznych: dowodzi, że w naszym systemie polityczno-społecznym jednostka ludzka posiada nieskrepowane prawo realizacji własnej osobowości.

Ireneusz J. Kamiński



Z Wystawy w BWA w Lublinie.